

Od red. Wojciecha Markiewicza do red. Jana Matacza czyli o wódzie na lewo choć nie tylko (str. 2); Profesor Mieczysław Jesipowicz: życie ze skalpelem (str. 3, 10-11); Siedemdziesięciolecie KUL-u (str. 6-7); Koleżeński zjazd (str. 6-7, 15); Festiwal Bułhakowa (str. 9); Dlaczego ks. Hodur zerwał z Kościołem rzymskokatolickim (str. 10-11); Zespół Tańca Ludowego UMCS w Azji (str. 13); Wyścig z konikiem - rzecz o siedmiu kursach dolara (str. 14)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

• ROK ZAŁOŻENIA 1933

1918
1988

kamena

NR 23 (921)

13 listopada 1988

Cena 35 zł

DROGI DO NIEPODLEGŁOŚCI

Wiesław Śladkowski

ODZYSKANIE niepodległości, odbudowanie państwa polskiego w 1918 r. to jedno z najważniejszych wydarzeń naszych dziejów nowożytnych. Biegają więc ku niemu myśli i uczucia Polaków, szczególne emocje narodowe wyzwała każda rocznica tego wiekopomnego faktu. Nie zawsze towarzyszą im jednak bardziej istotne pytania o sprawy zasadnicze oraz refleksja, zmierzająca do wyjaśnienia tego, co wydarzyło się przed 70. laty.

Nie jest to zresztą łatwe. Społeczeństwo polskie było wówczas podzielone na kilka obozów, każdy z nich działał w oparciu o inne przesłanki i innych sojuszników. Po zakończeniu I wojny światowej i odzyskaniu niepodległości rozpoczęły się więc natychmiast spory, kto miał rację i komu powinien przypisać wawrzyny dziejowej zasługi. W dwudziestolecie międzywojennym toczyły się one zasadniczo między zwolennikami Romana Dmowskiego z jednej i Józefa Piłsudskiego z drugiej strony. W Polsce Ludowej na plan pierwszy wysunięto nowy czynnik, był nim wpływ rewolucji październikowej. Obok dyskusji i polemik politycznych, dotyczących genezy II Rzeczypospolitej, rozwijały się równocześnie nad tym zagadnieniem studia i badania historyczne. Uzyskane w ich toku wyniki i ustalenia, też zresztą niejednolite i dyskusyjne zwłaszcza w swej warstwie eksplikacyjnej i osadzającej, stanowią przecież interesujący i godny uwagi materiał naukowy. Jest on przyswajany nie bez oporów i trudności, w mentalności społecznej wciąż bowiem dominują stereotypy, mity i legendy, sąsiadujące często z uproszczeniami o charakterze politycznym. Odwołując się do ustaleń naukowych warto więc



Pochód narodowy w Warszawie w listopadzie 1918 r.

z notatnika

27 X. W Warszawie narada (spotkanie?) redaktorów naczelnych pism literacko-kulturalnych z ZSRR, Węgier, Czechosłowacji, Bulgarii, NRD i Polski. Wśród redaktorów z Polski — czterech z tzw. terenu, w tym dwóch z Lublina („Akcentu” i „Kamenu”).

Gdzieś zawieruszyłem zaproszenie, więc nie mogę dokładnie podać tematu tego zgrupowania, ale chodziło o nowe myślenie i jego odbicie na łamach prasy. Dyskusja była bardzo swobodna, kameralna, w myśl tego, co powiedział jeden z dyskutantów, że „takie spotkanie tylko wówczas ma sens, kiedy nie będziemy mówić pięknych słów i wzajemnie poklepywać się po ramionach”. „Jak długo ciężar stalinizmu będzie przeżywał na naszej duszy” — zapisałem słowa, które wypowiedział bodaj redaktor z Węgier, ale myślę, że w jego ojczystym języku brzmiały one bardziej literacko niż w tłumaczeniu.

Pogadali, pogadali i rozjechali się. I nawet dobrze nie zdolali się poznać! Tu uwaga pod adresem organizatorów przysyłających spotkań: nie organizujemy ich w stolicy! I przebywamy przez cały czas w jednym hotelu, aby można było się zaprzyjaźnić, pogadać do późnych godzin nocnych, wymienić uwagi i doświadczenia. Takie spotkanie w Warszawie po prostu ginie, jest jeszcze jednym „odfajkowaniem”. Trudno się też spodziewać, by przyniosło cno jakiegokolwiek rezultatu poza odnotowaniem w prasie i w sprawozdaniach.

Szczegółową relację zda zapewne „Kultura”, która była organizatorem spotkania. Ja tam też to i owo powiedziałem, zwracając uwagę m.in. na fakt, że ten „ciężar stalinizmu w duszach” różnie w różnych krajach wygląda. I Polska i Węgry miały swój rok 1956, ale po tym roku 1956 kroczyliśmy nieco odmienną drogą. Bułgaria nie miała ani roku 1956 ani 1968 ani 1980, stąd dziś odkrywa to, co myśmy już dawno dostrzegli.

Red. J. Zambor z nowopowstałego czasopisma „Dotyky” w Bratysławie podarował mi swój pięknie wydany zbiorek wierszy. Nasi przyjaciele z Tatry zawsze nas bili pod tym względem na głowę. Pozadrościć takiej szaty graficznej! Może coś z tych wierszy uda się przełożyć i opublikować w „Kamieniu”.

1 XI. Leje deszcz, dobrze, że rano byłem na cmentarzach. Trzech, bo na każdym z nich leży ktoś bliski. Osiemnaście już lat minęło od odejścia mej matki, piętnaście — ojca. My, żywi, jeszcze śledzimy w tym życiowym pociągu, ale końcowa stacja dla wszystkich zawsze coraz bliższa.

Daniel Passent obchodził w „Polityce” redakcyjne zaduszki (chciałem napisać „odprawił redakcyjne zaduszki”, ale coś mi tu nie grało...), wspominał tych, którzy już na zawsze z „Polityki” odeszli.

Z osób mniej lub bardziej związanych z „Kamieniem” nie ma już założyciela pisma, KAJ-a, nie ma Konrada Belskiego, Wacława Gralewskiego, Marii Bechzyk-Rudnickiej, Jerzego Dosłatnego. Ten ostatni zmarł przed dzie-

sięcioma laty, a niedawno pożegnaliśmy jego żonę, Urszulę. Bardzo długa byłaby lista tych, którzy w ciągu 55 lat istnienia „Kamienia” zamieszczali na jej łamach swe prace. Niby naturalna kolej rzeczy, ale jakże trudno się pogodzić z tym tak szybkim przemianami!

Chodzę po cmentarzach — ile znanych nazwisk na płytach! Mam i swoje prywatne zdziwienia. Oto grób pułkownika D. Dobrze go znałem, nie byłby zapewne zadowolony, gdyby wiedział, że rodzina umieściła na „jego” płycie religijne symbole. Inny grób: leży w nim L. Jedna świeczka, żadnych kwiatów. Może rodzina akurat wyjechała, może się przeniósł do innego miasta, ale czyżby żaden z kolegów nie pamiętał o człowieku, który był ideałem dobroci? Są też groby stanowiące przeciwieństwo tego. Czy tych kilkadziesiąt pięknych chryzantem to rzeczywiście hołd oddany pamięci zmarłego czy też chęć pokazania żyjącym, że „mnie (nas) na to stać”?

Na zmarłych można nieźle zarobić. 1 listopada na targu tylko jeden mężczyzna sprzedawał świerkowe gałęzie. Żądał od 500 do 700 złotych za sztukę! Rozumiem, że ceny są umowne, ale żeby aż tak zdzierać skórę? Zapisałem numer rejestracyjny samochodu. Bardzo interesowałoby mnie, czy taki facet płaci jakikolwiek podatek? Mamy lasy państwowe, czy nie można uruchomić zdrowej konkurencji z pożytkiem dla wszystkich? Po stokroć rację miał nowy minister przemysłu, Mieczysław Wilczek, twierdząc, że u nas pieniądze leżą na ulicy. Nie każdy umie je jednak podnieść.

I jeszcze jedna sprawa. Cmentarz przy Drodze Męczenników Majdanka coraz bardziej się zapełnia. Kryzys kryzysem, ale liczba samochodów też wzrasta. W tym roku na drodze wyjazdowej z cmentarza wszędzie ustawiono znaki zakazu. Samochody parkowały w odległości nawet kilometra od wejścia na teren cmentarny. Widziałem starszki, które wlokły się nogą za nogą, aż żal było patrzeć. Czy nie można zagospodarować tego wielkiego placu przed miastem umarłych? Może on sam kiedyś też nim się stanie, ale zanim to nastąpi należałoby tu stworzyć parking, a nie mnożyć znaki zakazu, co zresztą jest zabiegiem najprostszym.

4 XI. Tydzień temu na łamach „Polityki” ukazał się tekst (obszerny zresztą) pióra Wojciecha Markiewicza (pt. „W oparach”) poświęcony lubelskiej aferze wódczanej. Dziennikarz dość przewrotnie podszedł do problemu i, jak pisze, po przestudiowaniu czterestu tomów akt sprawy lubelskiego „Polmosu” pozwolił sobie do Wysokiego Sądu wygłosić (społecznie!) mowę obrończą. W mowie tej są cytaty z przesłuchań oskarżonych i świadków, padają imiona i pierwsze litery nazwisk ludzi, którzy piastowali bądź piastują w naszym mieście odpowiedzialne stanowiska administracyjne i polityczne; mieli oni korzystać z darmowego zaopatrzenia w wódkę i spirytus. Cała

sprawa pachnie bardzo brzydko. Po tym artykule miałem dwa telefony od kolegów po piórze z Polski. „Co tam u was, w Lublinie, polski Uzbekistan?” — zapytał jeden, no ale wiadomo, że dziennikarze zawsze przesadzają i miliony złotych potrafią porównać do miliardów rubli. Z kolei inny kolega, z Lublina, jest wityny w Warszawie pytaniem: „No i gdzie te pół litra?” Zart żartem, ale afery też jest afery i trudno nad nią przejść do porządku dziennego. Zatelefonowałem do jednego z wymienionych przez red. Markiewicza funkcjonariuszy (nie napiszę „prominenta”, bo jaki z niego prominent?), którego mimo braku nazwiska łatwo (z uwagi na podane stanowisko) zidentyfikowałem, z pytaniem: „Ca zamierzasz robić? Moim zdaniem — albo powinienesz pójść do sądu dziennikarza, albo pójść samemu do dymisji”. Odpowiedział, że się zastanawia. Dobrze i to.

Mnie też coś zastanawia i nie mam zamiaru mych myśli owijać w bawełnę (polską, nie uzbeckistańską!). Alina Ł., zastępca dyrektora do spraw handlowych „Polmosu”, jeździła do Urzędu Wojewódzkiego i „za gabinetem wojewody, w pokoju wypoczynkowym, rozpakowywała przywiezione torby”. W torbach znajdował się alkohol, którym później raczono takich czy innych gości. Czy w roli gospodarza występował zawsze tylko sam wojewoda? Czy nikomu z jego współpracowników nie przyszło do głowy, by go zapytać: „Z jakiego to funduszu?” Mam też pytanie: czy jest zgodne z ustawą antyalkoholową, aby „na teren” zakładu pracy wnosić wódkę? Nawet tę zakupioną za własne pieniądze? Chyba nie na darmo ukuto przysłowie: „Co wolno wojewodzie, to nie tobie, smrodzie!”

Nie jest moim zamiarem dolewanie oliwy do ognia, ale może dzisiaj pod nieco innym kątem należy spojrzeć na niską frekwencję w Lublinie podczas wyborów do rad narodowych i w trakcie referendum? Ludzie więcej widzą i słyszą niż się komukolwiek wydaje.

Przed kilkoma laty zamieściliśmy na pierwszej stronie „Kamienia” artykuł Lidii Wójcik o Lublinie pt. „Wielki grajdoł”. Jakież było święte oburzenie! Na łamach jednego z dzienników zaraz przyłożono „Kamienie” z grubej rury, a później wśród zbiorowych prenumeratorów pisma rozpisano ankietę, która miała czarno na białym udowodnić, że nasze opinie rozmiłują się z tzw. głosem opinii społecznej. Dziś określenie Lublina mianem „wielki grajdoł” uważałbym niemal za komplement!

Tytuł piosenki Młynarskiego „W co się bawić?” zrobił kiedyś krajową karierę. U nas, w Lublinie, zabawa ciągle trwa w tym samym mniej więcej gronie. Można tu awansować niemal nie wychodząc przez lata z jednego gmachu, a „w razie czego” trudno nawet niejednemu określić swój zawód. U nas, jak chyba nigdzie, istnieje potrzeba dopływu świeżej krwi. Człowiek z zewnątrz, z innego miasta, będzie miał przynajmniej tę zaletę, że nie będzie innym przyklejać etykietek, a swych podwładnych i współpracowników potrafi ocenić bez podszeptów kłakierów: sam się przekonano o czyich wartościach i predyspozycjach.

Tu już bym zakończył nie stawiając kropki nad „i”, choć chyba w Lublinie taką kropkę trzeba stawiać. Prze-

konał się o tym dziś red. Jan Matacz, który na łamach „Sztandaru Ludu” opublikował swój cotygodniowy felieton tym razem poświęcony lubelskiej aferze. Ja ten tekst odczytałem jednoznacznie, ale red. Matacz odebrał wiele telefonów: czytelnicy, znając jego ciężkie pióro, oburzali się, że broni on „tych, co brali”. Red. Matacz usłyszał, że „zawiódł”, że „lego się po panu nie spodziewałem” itp., itd.

W tymże „Sztandarze” pisywałem kiedyś felietony pod wspólnym tytułem: „Byłe nie po oczach” (zapożyczonym zresztą z dawnych „Szpilek”). Okazuje się teraz, że w Lublinie trzeba właściwie uderzać po oczach, bo wielu nie rozumie, iż felieton rządzi się swoimi prawami. Dla czytelników spoza Lublina, którzy tego tekstu nie znają, cytuję pewien jego fragment: „Jawność — zgoda! Tej cennej wartości nie możemy jednak doprowadzić do postaci karykaturalnej. Nie można wymagać, aby osoby pełniące ważne funkcje publiczne musiały kontrolować każdy swój krok i uważnie przyglądać się, czy człowiek, któremu podają rękę, ma czyste paznokcie. Mój Boże, gdyby tak stawiać sprawę i w stosunku do wszystkich mieć tak absurdalne wymagania sterylnej uczciwości, obawiam się, że pustką świeciłyby nie tylko fotele w ważnych gabinetach, ale także niektóre konfesjonały...”

Kto w tych słowach nie widzi ironii, powinien w ogóle zrezygnować z lektury jakiegokolwiek gazet i czasopism. Sądzę, że nawet telewizyjny „Rambit” byłby dla niego zbyt trudny do ogarnięcia!

6 XI. Piszę na ten temat szerzej w „Tygodniku Chelmskim”, ale i tu muszę odnotować słowa ministra przemysłu, Mieczysława Wilczka, który po decyzji o likwidacji Gdańskiej Stoczni tak powiedział: Gdańska Stocznia jest skarbnicą bez dna. Te same środki można przeznaczyć np. na rozwój przemysłu farmaceutycznego, który sprzeda każdą ilość swych produktów na rynek radziecki, a więc tam, gdzie sprzedawano stalki ze stoczni Lenina i robi się na tym dużo lepszy interes. Sentymenty sentymentami, ale coraz bardziej liczy się rachunek ekonomiczny.

7 XI. Oto na łamach 213 n-ru „Kurieru Polskiego” w rubryce Matrymonialne odnalazłem ogłoszenie takiej treści: „Dwie brunetki o dobrej prezencji (w tym jedna mężatka), gołębiego serca i szatańskim temperamentem poznają po dwóch panów (dwóch o urodzie południowej i dwóch o urodzie nordyckiej). Fotooferty...”

Jedna z owych pań, mężatka, (rubryka zwiże się przecież „Matrymonialnie”) poszukuje dwóch kolejnych mężów. Gdy się ma trzech, można już zakładać harem! Doceniam emancypację kobiet, ale wydaje mi się, że w danym wypadku jest ona zbyt daleko posunięta. Chociaż z drugiej strony czasy takie, że pensja jednego męża może nie wystarczyć na utrzymanie domu.

Gołębie serce i szatański temperament. Wzór matki Polki czy żony Polki?

A na marginesie dodam, że obie ogłaszające się panie pochodzą z Gdańska. Tam zawsze coś wymyślą!

M. A. Jaworski

KRONIKA KULTURALNA

Uroczysta sesja Miejskiej Rady Narodowej, konferencja naukowa w LTM i UW, manifestacja na pl. Litewskim, nadanie imienia Ignacego Daszyńskiego Lubelskim Fabrykom Wag — to tylko ważniejsze imprezy, jakimi upamiętnia Lublin 70-lecie odzyskania niepodległości przez Polskę. Z tej rocznicowej okazji opublikowano też materiały z lubelsko-kazimierskiej sesji naukowej „Wkład Polonii w odzyskanie przez Polskę niepodległości w 1918 roku”, Redaktorem wydawnictwa był Władysław Kucharski, edytorem — Towarzystwo „Polonia”, Treść, papier, druk, oprawa graficzna — bez zarzutu.

Prof. Gr hab. Zygmunt Mańkowski został pierwszym laureatem ufundowanej niedawno Nagrody Autorów im. Andrzeja Burdy, przyznawanej przez Lubelski Oddział Stowarzyszenia Autorów Polskich. Powodem

owego wyróżnienia okazała się praca Z. Mańkowskiego „W kręgu polskich doświadczeń historycznych XIX i XX w.”, opublikowana przez Wydawnictwo Lubelskie. Nasze gratulacje!

Przy końcu października w puławskim Domu Chemika kilkakrotnie wystąpiło „Mazowsze” — zawsze przed pełną widownią. Wkrótce zaśpiewa tam Ewa Demarczyk. Dodajmy, że w salach wystawowych BWA, majdunujących się w obrębie DCH, czynna była wystawa plakatu japońskiego o tematyce reklamowej i pacyfistycznej, a od 4 listopada można oglądać ekspozycję twórczości plastycznej Zbigniewa Bajka, asystenta w krakowskiej ASP.

„Prezentacje” lubelskiej „Estrady” i „Jesień Teatralna” Teatru Studyjnego (OSE) nasyciły październik sztuką poważną, lekką i swobodną, miejscową i importowaną. Było w czym wybierać.

W lokalu TPSP na Starym Mieście w Lublinie otwarto 4 listopada wystawę malarstwa Adama Chmielowskiego (1846—1916), którego twórczość budzi od pewnego czasu żywe zainteresowanie historyków sztuki i publicznosci.

3 listopada w auli Wydziału Prawa UMCS odbyła się sesja poświęcona zagadnieniu Żydów na Lubelszczyźnie. W ramach imprezy wystąpili też aktorzy stołecznej Teatru Żydowskiego, Dzień później lubelskiej publiczności przedstawił się zespół teatralny z osobami „Double Edge”, który na scenie Teatru Łódki i Aktora dał spektakl „Song of Absence” („Pieśń nieobecności”), rozwijający się wokół tragedii Żydów.

Zwracamy uwagę na kolejną wartościową inicjatywę Wydawnictwa Lubelskiego, które skierowało do druku cenne dzieło tomów Marii Kuncewiczowej i pióro

mów Jerzego Kuncewicz. Pierwsze książki trafią na półki księgarskie już w przyszłym roku — w jednolitej szacie graficznej, przy czym część nakładu będzie miała twardą oprawkę z obwolutą. Każdy tom ukaże się i będzie sprzedawany oddzielnie.

Od 3 listopada w zamajskim BWA czynna jest wystawa malarstwa Włodzimierza Dawidowicza z Warszawy. Z wyprzedzeniem informujemy ponadto, bo chyba warto, że 24 bm. otwarta zostanie tamże wyjątkowo atrakcyjna ekspozycja pt. „Światowa Ilustracja książki dziecięcej”. Polecamy!

W Lublinie wystąpił Państwowy Zespół Pieśni i Tańca Kozaków Dońskich, który powstał w 1936 roku. Dynamika, niebywała sprawność choreograficzna, tkliwe i dziarskie melodie.

Lublinianin, Stanisław Górecki, jeden z czołowych polskich rysowników, miał wystawę indywidualną w renomowanej galerii „Przymat” w Krakowie. Natomiast w Lublinie gościł: Ewa Kuryluk (obecnie w USA), która w Galerii Sztuki Srebrny Plastykizm KUL pokazała rysunki oraz Jürgen Hammar ze Szwecji, autor ekspresjonistycznych grafik inspirowanych m. in. psychologią, a wystawionych w sali powitana recepcyjnym Muzeum na Majdanku.

Dobiegają końca prace budowlane w Domu Gołym w Puławach, wystawionym przez Izabellę Czartoryską w 1809 roku. Proponuje się, by po zakończeniu wszystkich robót konserwatorskich utworzyć w obiektach oddział Muzeum Narodowego w Krakowie gdzie — jak wiadomo — znajdują się bogata kolekcja Czartoryskich.

Życie ze skalpelem

Rozmowa z prof. Mieczysławem Jesipowiczem

— Transplantacje narządów posiadają już pewną tradycję w medycynie światowej, ale w Lublinie tego jeszcze nie było — do marca bieżącego roku, kiedy to zespół chirurgów pod pańskim kierownictwem dokonał pierwszego przeszczepu: nerki.

— Odbyło się to przecież w warszawskiej Akademii Medycznej, konkretnie: w Klinice Chirurgii Ogólnej i Transplantacji, której szefem jest docent Wojciech Rowiński. Prawdą pozostaje, że całą operację, od początku do końca, wykonali lublinianie. Od tego czasu pobraliśmy nerki od ośmiu dawców, by wszczepić je szesnastu pacjentom.

— Ale dlaczego w Warszawie?

— Bo transplantacja stanowi olbrzymi problem organizacyjny, nie do rozwiązania przez jedną klinikę. Tu potrzebna jest ścisła współpraca wielu zakładów i klinik oraz pomoc instytucji prawa. Mechanizmu takiej struktury nie można przecież uruchomić, jeśli w środowisku lekarzy zabraknie zrozumienia dla celowości i humanitarnej natury przeszczepiania narządów. Owszem, to bardzo delikatna i skomplikowana kwestia. Pośrednio świadczy o tym fakt, że do niedawna istniał w Polsce tylko jeden ośrodek transplantacji, właśnie warszawski, ukształtowany z inicjatywy profesora Jana Nielubowicza, którego dzieło kontynuują docenci: Rowiński i Szmidt oraz doktor Wałaszewski. To dzięki ich realnemu i moralnemu poparciu mogłem wreszcie zrealizować to, o czym myślałem od lat. Profesor Bolesław Semczuk zaproponował mi kiedyś, w okresie swojego rektoratu w naszej Akademii, przygotowanie wykładu inauguracyjnego na dowolny temat. No i wygłosiłem coś takiego pod tytułem „Transplantacja wczoraj, dziś i...”, kończąc tekst słowami nadziei, że i Lublin znajdzie się wśród ośrodków, zajmujących się przeszczepami.

— Stało się. Ciekawi wszakże, kiedy operacje tego rodzaju będą przeprowadzane na miejscu, w gmachu przy ul. Jaczewskiego?

— Przy końcu obecnego, lub na początku przyszłego roku.

— Powstanie lubelskiego ośrodka transplantacji otwiera chyba jakąś nową perspektywę przed tutejszą Akademią Medyczną, nie mówiąc już o chorych na schyłkową niewydolność nerek, którzy zyskują oto wielokrotnie szanse powrotu do normalnego życia. Sprawa jest więc poważna, warta ostrej ekspozycji już na wstępie naszej rozmowy, gdy tymczasem regionalne sentymenty skłaniają mnie do zapytania o miejsce pańskiego urodzenia.

— Urodziłem się w Lublinie, w domu przy ul. Piłsudskiego.

— Piłsudskiego?

— Obecnie jest to al. Świerczewskiego.

— Jak widać, historia pisze się również na bruku, trylicie czy asfalcie... O ile wiem, studia lekarskie także ukończył pan w Lublinie.

— Tak, w 1953 roku. Wkrótce potem tak zwany „czynnik społeczny” w uczelnianej komisji przydziału pracy próbował jednak wyeksmitować mnie z rodzinnego miasta na głęboką prowincję, bo on już „tam” był, posmakował terenowego chleba. Pewnie bym „tam” trafił, gdyby nie pomoc dr. Kwiatkowskiego, asystenta prof. Tadeusza Jacyny Trzyszkiewicza, który zaproponował mi trzymiesięczny kurs w warszawskim Instytucie Onkologii. Po tym kursie miałem utworzyć dział organizacyjno-metodyczny w Wojewódzkiej Przyrodniczo Onkologicznej w Lublinie.

— Obiegujący wstęp do kariery zawodowej...

— W stolicy, owszem, zetknąłem się z prawdziwą kliniką, z autentyczną nauką, z wielkimi postaciami polskiej medycyny, co na pewno wpłynęło na moją postawę i sposób myślenia w przyszłości. Inna sprawa, że mieszkaniem w pokójku służbowym, który znajdował się w budynku zwierzętarni wspomnianego Instytutu, zaś oposażenie, jakie otrzymywałem, starczało led-

wie na obiady. Warszawę poznawałem z pozycji człowieka gapiącego się bezradnie na wystawy sklepowe. A miałem wtedy 22 lata.

— Co pan robił po powrocie do Lublina?

— Rozpocząłem pracę w I Klinice Chirurgii AM, która znajdowała się jeszcze, do roku 1964, w szpitalu Jana Bożego. Byłem wolontariuszem, który groszową pensję otrzymywał raz na trzy miesiące, a dla polepszenia samopoczucia musiał szybko zapomnieć o wcześniej obiecanej etacie w przychodni onkologicznej. Gdyby nie rodzina, matka nauczycielka...

— Ojciec...

— Ojciec, oficer Wojska Polskiego, zginął w Katyniu... Było więc głodno i chłodno, ale nie ma chyba sensu rozwijać tego wątku.

— Ale czym, konkretnie, zajmował się pan wówczas w klinice?

go etatu zawdzięczam energicznemu staraniu profesora Onyszkiewicza, wybitnego chirurga, światłego i dobrego człowieka, który poznawszy mnie bliżej obdarzył wielką życzliwością, więcej — traktował niemal jak własnego syna. Onyszkiewicz należał do szlachetnej formacji ludzi rzadko dziś spotykanych, on rzeczywiście pojmował zawód lekarza jako służbę bliźniemu! Uważam więc za jego ucznia, a więc za kogoś wychowanego w duchu dynamicznej „lwowskiej szkoły chirurgii”, w której właśnie ukształtował się Onyszkiewicz. Poza mną jeszcze kilka osób w Lublinie z satysfakcją zaznacza takie swoje pochodzenie: prof. Tadeusz Szpruch, docenci — Stanisław Jabłonka, Alina Członkowska-Sawa, Jerzy Karski, Lucjan Kurylcio czy doktorzy — Mirosław Litwin i Mieczysław Łukasiewicz. Do tej grupy należą też profesorowie: Zofia



Prof. Mieczysław Jesipowicz

Fot. Cezary Krupa

— Sprawdzalem swój charakter w roli „przynies - wynies”, częściowo za sprawą moich sześciu kolegów ze studiów, którzy etaty w klinice otrzymali z miejsca, dzięki rekomendacji ZMP. W rezultacie najchętniej przebywałem wśród chorych, zwykle wśród tych po ciężkich urazach. Była to dobra szkoła dla młodego lekarza, który z cichą radością stwierdzał, że jest ludziom potrzebny.

— W końcu otrzymał pan przeciętne normalny etat?

— Po dwóch latach wołontariatu, ale wcale nie taki „normalny”, lecz okrojony do pięciu godzin dziennie.

— Dwudziestokilkuletni kawaler to przeciętne indywidualium bardzo wytrzymałe i zwykle beztróskie.

— Kawaler... Wtedy właśnie, w roku 1955, ożeniłem się z absolwentką Akademii Medycznej.

— Dowiedziałem się niedawno z prasy, że pański syn, Jacek, też jest chirurgiem. Słowem: szykuje się lekarski ród Jesipowiczów.

— Może. Ale mamy też „dysydenta”. Otóż żona Teresa jest ordynatorem oddziału zakaźnego w Psychiatrycznym Specjalistycznym Zespole Opieki Zdrowotnej w Lublinie (barokowa nazwa, nieprawdaż?!), Jacek — wiadomo, lecz drugi syn, Hubert, jał się adwokackiej aplikantury.

— No więc kiedy został pan asystentem?

— Chyba w 1956 roku, po uzyskaniu specjalizacji I stopnia. Otrzymanie te-

Umiaszowska i Zbigniew Papliński, pracujący w innych miastach.

— Jak przedstawia się dziś rola jednostki w chirurgii, jednostki obdarzonej nawet wyrazistą indywidualnością?

— Indywidualności pobudzają rozwój każdej profesji, praktyki i nauki, ale żaden chirurg nie jest w stanie pracować w pojedynkę. O powodzeniu operacji decyduje współcześnie zespół, złożony z lekarzy, anestezjologów (kiedyś ignorowanych) i instrumentarzystek. Tylko w legendzie pojawia się jeszcze postać samotnego chirurga, który z zamkniętymi oczyma wkładał rękę do brzucha pacjenta i wyjmował z niego kamień.

— Zatem ile osób liczy np. zespół, który bierze udział w pobraniu nerki od zmarłego człowieka?

— Około 15, łącznie z tymi, jacy wykonują badania encefalograficzne.

— Czy przeszczep nerki są tak rewelacyjnie dobre w skutkach, że degradują dializę? Stacje dializy pracują, o ile wiem, w Chełmie, Kraśniku, Białej Podlaskiej, Janowie Lubelskim, Puławach i Radomiu, który również znajduje się pod pańskim nadzorem, podobnie jak województwa przemyskie i tarnobrzesckie.

— Urządzenie zwane sztuczną nerką stanowiło przełom w leczeniu nieodwracalnego uszkodzenia lub schyłkowej niewydolności tego organu. Jest to wszakże aparatura bardzo kosztowna, na ogół sprowadzana do Polski z Zachodu, oczywiście za dewizy. Takie

„nerki” produkujemy co prawda w kraju, ale ich jakość pozostawia wiele do życzenia. Trzeba też wiedzieć, że pacjent dializowany to właściwie kaleka bez szans na normalne życie. Bo coż to za życie, skoro trzy razy w tygodniu trzeba poddać się dializie, trwającej po kilka godzin każda? Natomiast przeszczepy gwarantują choremu powrót do pełnej sprawności. Dość powiedzieć, że młode kobiety z przeszczepioną nerką rodzą dzieci! W ciągu roku polskie statystyki odnotowują 1500 osób dotkniętych schyłkową niewydolnością nerek, z czego około 400 kwalifikuje się do transplantacji.

— Jakie są przyczyny tej choroby?

— Rozwija się ona na podłożu przewlekłego zapalenia nerek, nerczicy, zatrucia organizmu produktami przemiany materii, a zwykle towarzyszy jej nadciśnienie. Pojawia się nie tylko u ludzi dorosłych, lecz także u dzieci. Niektóre ośrodki zagraniczne specjalizują się wyłącznie w przeszczepianiu nerek dzieciom.

— Nerki mam jeszcze, o dziwo, zdrowe, ale tak na wszelki wypadek chciałoby się wiedzieć, jak przedstawia się odsetek pomyślnych transplantacji...

— To zależy od dawcy. Jeśli wszczepiamy nerkę pobraną od żywego czło-

wieka, powodzenie całej operacji, łącznie z jej odległymi skutkami, jest wysokie, sięga 80—90 procent zabiegów. Natomiast w przypadku nerki ze zwłok wskaźnik ten wynosi 40—50 procent. Pragnę zaznaczyć, że sama operacja nie stwarza w zasadzie zagrożenia dla życia pacjenta.

— Podobno człowiekowi wystarcza jedna nerka.

— W zupełności i dlatego właśnie przeszczepia się pojedyncze nerki. Taki jeden organ sprawnie obsługuje zarówno dawcę, jak i biorcę. Inna sprawa, że pierwszy z nich, statystycznie rzecz biorąc, będzie żył o pięć lat krócej, niż wynosi średnia wieku dla jego pokolenia.

— Skicuje to pewien dylemat: pobierać nerki od żywych, czy zmarłych?

— O wyborze dawcy decyduje coś innego. Otóż każdy człowiek potencjalnie narażony jest na urazy czy nowotwory nerek. Jeśli zachoruje i ma tylko jedną nerkę, sprawa komplikuje się dramatycznie. Bardziej racjonalne wydaje się więc pobieranie tych organów od osób zmarłych. Wspomniany przez pana dylemat stanowi zresztą przedmiot nieustających dyskusji i polemik wśród lekarzy. Swoiste przeniesienie fragmentu organizmu żywego

Dokończenie na str. 10—11

DROGI DO NIEPODLEGŁOŚCI

Dokończenie ze str. 1

chyba podjąć próbę wyjaśnienia zasadniczych, jak się wydaje, dla odzyskanej niepodległości kwestii, tj. źródeł i dróg do niej prowadzących.

Źródła tych, zdaniem wielu, szukać należy w tradycji polskich powstań i walk narodowowyzwoleńczych oraz w postawie społeczeństwa polskiego ukształtowanej w wyniku rozwoju na naszych ziemiach nowoczesnych ruchów politycznych i zachodzących w ich wyniku przemian w świadomości narodowej szerokich warstw, a więc robotników i chłopów. Na sztandarach swych zgodnie z dominującymi wówczas w Europie i świecie tendencjami jeden z nich miał wypisane słowo — nacjonalizm, drugi — socjalizm.

Ten pierwszy, wywodził swą genezę z Ligi Polskiej i sformułowanych przez Zygmunta Milkowskiego idei Skarbu Narodowego i walki czynnej, która w swej dalszej perspektywie prowadzić miała do odzyskania przez Polskę niepodległości. Przekształcając Ligę Polską w Ligę Narodową, podporządkowując sobie Związek Młodzieży Polskiej „Zet” i tworząc Stronnictwo Demokratyczno-Narodowe, zasadnicze oblicze nadał temu ruchowi Roman Dmowski i współpracujący z nim Zygmunt Balicki i Jan Ludwik Popławski. Zasięg społeczny i propagandowy ruchu był szeroki, obejmował zarówno miasto jak i wieś oraz klasy posiadające i pracujące. Pod wpływem wybitnej umysłowości i osobowości Romana Dmowskiego ukształtował się też zasadniczy kierunek polityczny tego ugrupowania, sprowadzający się do „zdobycia w każdym z trzech zaborów stanowiska zapewniającego żywiołowi polskiemu możliwie największą samodzielność narodową”. Akcją zbrojną lub dyplomatyczną na rzecz niepodległości uznano za nie odpowiadającą dzisiejszemu stanowi i położeniu narodu. Nacjonalizm polski na tym etapie swego rozwoju stanął więc wyraz samoobrony przed wynarodowieniem Polaków, a wysuwając hasło „wszechpolskości” zmierzał do podtrzymania i rozwinięcia wspólnoty Polaków ze wszystkich zaborów.

W rozwijającym się równolegle polskim ruchu socjalistycznym doszło rychło do wyodrębnienia się dwóch nurtów, jednym z jego podstawowych kryteriów był właśnie stosunek do niepodległości. Pierwszy z nich, poczynając od Ludwika Waryńskiego a następnie w oparciu o teorię Róży Luksemburg, uznał dążenia niepodległościowe narodów za nacjonalistyczne i reakcyjne, niepożądane dla proletariatu, który powinien burzyć państwa klasowe a nie budować nowych. Badacze ruchu robotniczego twierdzą na ogół zgodnie, iż takie założenia utrudniały SDKPiL pozyskanie mas i zdobycie wpływów. Drugi nurt ukształtował się pod wpływem idei Bolesława Limanowskiego, wiążących socjalizm z niepodległością Polski. Założona w 1892 roku Polska Partia Socjalistyczna wysunęła hasło walki o polską samodzielną republikę demokratyczną, stanowiącą dobrowolną federację narodowości zamieszkałych na obszarach dawnej Rzeczypospolitej. Dążenie do niepodległości, której najgorętszym rzecznikiem stał się w PPS Józef Piłsudski, podzielała także PPSD w Galicji i na Śląsku oraz PPS w zaborze pruskim. „W naszym dzisiejszym położeniu — mówił w 1907 roku przywódca PPSD Ignacy Daszyński — idea niepodległości Polski jest ideą najbardziej rewolucyjną, najmniej zawodną i najlepiej obejmującą oba cele dzisiejszej rewolucji: obalenie caratu i utworzenie sejmu konstytucyjnego w Warszawie”.

Organizujący się i wzrastający stopniowo we wpływy samodzielnego ruchu ludowy skupiony w Galicji w Stronnictwie Ludowym, żądający rozszerzenia autonomii i odrębności prawo-państwowej, formułował w dalszej perspektywie „prawo Polski do samostannego bytu”. Jak wspominała Irena Kosmowska, „zdobycie własnym wysiłkiem niepodległości Polski było żywiołowym pragnieniem szukającej swych dróg zbudzonej duszy ludowej”. Dążenia te znalazły swój wyraz w ruchu zaraniarskim i w programie PSL Piast.

Obok ruchów politycznych, których idee i dążenia rozpowszechniała związana z nimi prasa, ważką rolę w ugruntowaniu polskości w szerokich kręgach społeczeństwa odegrała literatura narodowa. Pokolenie ówczesne wychowało się na powieściach historycznych Henryka Sienkiewicza, ukazujących wielkość i patriotyzm narodu polskiego. Szczególną poczytnością cieszyły się też powieści historyczne poświęcone epoce napoleońskiej, gloryfikujące zbroj-



Roman Dmowski



Józef Piłsudski

Repr. Andrzej Polakowski

ny czyn legionów Jana Henryka Dąbrowskiego i boje wojska polskiego w czasach Księstwa Warszawskiego. Obok najwybitniejszego dzieła o tej tematyce, „Popiołów” Stefana Żeromskiego, były to utwory Wacława Gąsiorowskiego, Kazimierza Przerwy-Tetmajera, Walerego Przyborowskiego. Rozczytywała się w nich młodzież, do dzieci nawet był adresowany popularny wówczas, a dziś zapomniany, „Lolek Grenadier” Antoniego Gawińskiego.

Poddana wynarodowiającemu drylowi szkoły zaborczej młodzież polska znajdowała ujście dla swego patriotyzmu w licznych tajnych organizacjach, nawiązujących do idei filomackich, jak Czerwona Róża, Przyszłość „Pet” i wielu innych. W Krakowie i innych miastach w kręgach młodzieży studenckiej i szkolnej działała katolicka Eleusis, łącząca ideę samodoskonalenia moralnego z hasłem niepodległości ojczyzny. Hasło to przyświecało także rozwijającemu się wówczas skautingowi polskiemu. Społeczeństwo polskie demonstrowało coraz wyraźniej swój patriotyzm podczas uroczystości narodowych, jak spróbowanie prochów Adama Mickiewicza na Wawel, odsłonięcie pomników wieszczą w Warszawie i Krakowie i pomnika grunwaldzkiego w Krakowie. Ujawnił się on także w pełni podczas wydarzeń rewolucji 1905—7.

Według Jana Molendy, autora książki „Piłsudzczy i narodowi demokraci”, w umasowieniu idei niepodległościowej wśród społeczeństwa, a zwłaszcza robotników i chłopów, zrazu mieli swój udział narodowi demokraci, natomiast od początków naszego stulecia socjaliści i ludowcy oraz organizacje postępowej inteligencji. Gdy Europa i świat, podzielony na ugrupowania i bloki militarne zbliżał się wielkimi krokami do wojny powszechnej, nie tylko elita, tj. przywódcy i kadra aktywistów, lecz także niektóre szersze kręgi społeczeństwa polskiego były przygotowane pod względem duchowym do podniesienia sprawy polskiej, zarówno na gruncie politycznym jak i militarnym.

W przededniu wojny doszło też do ukształtowania się w społeczeństwie polskim dwóch zasadniczych orientacji politycznych: antyrosyjskiej i antyniemieckiej. Pierwszą stanowił ruch niepodległościowo-socjalistyczny z Józefem Piłsudskim na czele, propagujący zbrojną walkę przeciwko Rosji, najbardziej reakcyjnemu państwu zaborczemu, u boku Austro-Węgier. Niektórzy zwolennicy tego nurtu myśleli o częściowym zjednoczeniu ziem polskich (bez zaboru pruskiego) pod berłem Habsburgów. Piłsudski i jego zwolennicy w oparciu o doświadczenia Organizacji Bojowej PPS z okresu rewolucji 1905—7 przystąpili w Galicji do tworzenia kadr przyszłej organizacji wojskowej, powołując tu tajny Związek Walki Czynnej i jawny Związek Strzelecki. W podobnym kierunku szła część ludowców, organizacji inteligentkich i młodzieżowych, skupionych wokół pisma „Zarzewie”, powołując Polskie Drużyny Strzeleckie. W czerwcu 1914 r. Strzelec liczył przeszło 7 tys. członków, PDS przeszło 6 tys. Całością tych działań kierowała Komisja Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych o charakterze ponadzaborowym. Historycy toczą do dzisiaj spór, czy Piłsudski miał sprecyzowany plan działań, czy przewidział przebieg wojny? Istnieją przekazy mówiące, iż podczas swego pobytu w Paryżu w lutym 1914 r. stwierdził, że powołane przez niego oddziały pójdą w pierwszej fazie wojny, aby wyzwolić ziemie Królestwa Polskiego przeciwko Rosji, przy boku Austro-Węgier i Niemiec. W drugiej fazie, po zwycięstwie Anglii i Francji nad Niemcami, „my się upomniemy o wolność zaborów niemieckiego i austriackiego”.

Orientacji przeciwnej, antyniemieckiej, przewodził Roman Dmowski, stawiający na Rosję i ententę, liczący początkowo na zjednoczenie pod berłem cara ziem polskich oraz nadanie im autonomii. Oparciem było jego własne stronnictwo narodowe — demokratyczne, popierane na zasadzie głoszonych hasel solidarystycznych nie tylko przez klasy posiadające, lecz także część chłopów i robotników, w tym przez cały zabór pruski.

Wojna przyniosła zniszczenie „kraju i cierpienia jego mieszkańców, tragedię siłą wcielonych do armii zaborczych Polaków, zmuszonych do wymierzenia obrażoną ręką w legendę i kult wodza. Zrywając z nurtem aktywistycznym, uwięziony po kryzysie przysięgowym w lipcu 1917 r. i osadzony przez Niemców w Magdeburgu, wyrósł w oczach społeczeństwa na konsekwentnego szermierza idei niepodległościowej, przeciwstawiającego się wszystkim zaborcom.

Piłsudski, dowodząc I brygadą Legionów Polskich, tocząc krwawe boje na różnych odcinkach frontu wschodniego, zyskiwał sławę wojenną, przeobrażoną rychło w legendę i kult wodza. Zrywając z nurtem aktywistycznym, uwięziony po kryzysie przysięgowym w lipcu 1917 r. i osadzony przez Niemców w Magdeburgu, wyrósł w oczach społeczeństwa na konsekwentnego szermierza idei niepodległościowej, przeciwstawiającego się wszystkim zaborcom.

Dmowski, opuszczając w 1915 r. Rosję, rozpoczął ożywioną działalność dyplomatyczną i polityczną na zachodzie Europy, w Anglii i Francji. Jako prezes i twórca Komitetu Narodowego Polskiego, nie ustawał w staraniach o odbudowę niepodległego i zjednoczonego państwa polskiego, walczył o jego granice odpowiadające aspiracjom polskim, szukał dla niego poparcia u mocarstw zachodnich. Zdaniem swego ostatniego biografy, Romana Wapińskiego, był wówczas Roman Dmowski „reprezentantem narodu”.

O uznanie swego wkładu w dzieło odbudowy państwowości polskiej upominają się także aktywiści, obóz przegrany i najbardziej później krytykowany, który włączył się czynnie do budowy rządu administracji polskiej po akcie 5 listopada 1916 r. W ramach powołanego i uzależnionego od państw centralnych Królestwa Polskiego. Ustanowiony wówczas system sądownictwa, szkolnictwa, opieki zdrowotnej stał się podstawą dla rozwoju tych dziedzin w odrodzonym państwie.

W końcowym okresie wojny, w latach 1917—18, doszło na arenie międzynarodowej do istotnych zmian, zaważyły one na sprawie polskiej. Rewolucje rosyjskie, z których pierwsza, lutowa, obaliła carat a druga październikowa, anulując traktaty rozbiorowe uznała prawo narodu polskiego do niepodległości i jedności, usunęły groźbę powrotu niewoli carskiej czy też innych form zależności. Klęski zadane przez koalicję armiom państw centralnych oraz wybuch rewolucji w Berlinie i Wiedniu złamały potęgę Niemiec i Austro-Węgier. Machina zaborcza i okupacyjna na ziemiach polskich zaczęła się rozpadać. Biorąc pod uwagę stanowisko zwycięskiej koalicji, opowiadającej się za niepodległością Polski, wytworzyły się wówczas sprzyjające i dogodne warunki zewnętrzne dla polskich nadziei i dążeń. Aby zmieniły się w rzeczywistość, trzeba było czynu. Wykorzystanie owych szans byłoby niemożliwe bez długotrwałych przygotowań sił wewnętrznych. Z wielokrotnością się one w ostatnim okresie wojny, gdy znacznemu przyspieszeniu uległy procesy kształtujące świadomość społeczną i

narodową szerokich mas, tj. robotników i chłopów. Może o tym świadczyć wyraźny wzrost liczby członków partii politycznych stojących na gruncie niepodległości, jak PPS i PSL i poszerzenie się zakresu ich wpływów, np. nakład organu ludowców „Piasta” wzrósł z 8 tys. egzemplarzy w 1914 r. do 81 tys. w 1917. Przez Legiony Polskie przeszło ogółem 30 tys. osób a powołana również przez Piłsudskiego Organizacja Wojskowa tylko w Królestwie Polskim liczyła w tym czasie ponad 20 tys. członków, w tym 50—60 proc. to chłopi, 20—25 proc. mieszczaństwo, 10—15 proc. robotnicy i 5—10 proc. inteligencja i młodzież szkolna. Peowiaci stanowili też główną siłę, która w końcu października i w pierwszej połowie listopada w Galicji i Królestwie Polskim uczestniczyła aktywnie w rozbrajaniu okupacyjnych i zaborczych armii niemieckiej i austro-węgierskiej, burzeniu starego aparatu władzy i tworzeniu nowego, polskiego. Zaborcze i okupacyjne pęta zerwało więc wówczas samo społeczeństwo polskie, w efekcie późniejszych zbrojnych powstań polskich w granicach państwa znalazła się także Wielkopolska i część Śląska. W listopadzie 1918 r., w wyniku tworzenia się lokalnych i centralnych ośrodków władzy państwowej, jednym z nich był Lublin, niepodległość Polski stała się faktem.

Czyja była zasługa? Spór o prawo wyłączności dla jednej, lub też drugiej orientacji, wydaje się być już dzisiaj przebrzmiały. Do niepodległości prowadziły nie tylko te dwie drogi, było ich więcej. Nie był to też przypadek, jak wynikać by mogło ze znanego powiedzenia jednego z przywódców SDKPiL a potem KRPP, Adolfa Warskiego-Warszawskiego: „Polska rzeczywicie wybuchła dla nas i nie wiedzieliśmy, co z tym fantem zrobić”. Ze słów tych przebija natomiast zaskoczenie i zdziwienie działacza politycznego, który zbyt długo patrzył na rzeczywistość przez pryzmat błędnej doktryny i zbyt późno przystąpił do jej krytyki. Za jednostronne uznać też trzeba zdanie współczesnego dziejopisa, będące do niedawna oficjalną wykładnią: „Rok 1918 był logicznym zakończeniem procesu rozpoczętego przez rewolucję październikową”. Rację mają natomiast ci badacze i publicyści, w rzędzie których poczynając od Adama Próchnika stoją Henryk Wereszycki, Stefan Kieniewicz, Janusz Pajewski, Andrzej Micewski i wielu innych, którzy w swych rozważaniach nad odzyskaną niepodległością dostrzegli wpływ procesów ogólnoeuropejskich, wskazali na całokształt korzy-



Rozbrajanie Niemców na ulicach Warszawy
Repr. Andrzej Polakowski

stnych dla Polski uwarunkowań międzynarodowych, lecz za czynnik decydujący uznali wolę i dążenie narodu polskiego do uzyskania samodzielnego bytu państwowego. Dowiódł on i jego przywódcy: Józef Piłsudski, Roman Dmowski, Jan Ignacy Paderewski, Ignacy Daszyński, Wincenty Witos, Józef Haller, swej dojrzałości politycznej i społecznej, wypełnił wówczas dziejowe zadanie. Zdziwici może umieszczenie w jednej linii nazwisk ludzi tak diametralnie różniących się, rywalizujących z sobą, zwalczających się i reprezentujących przeciwstawne sobie opcje polityczne. To wszystko prawda, ale prawdą też jest, iż w momentach najważniejszych i decydujących, odsuwając na plan dalszy różnice polityczne i rozgrywki partyjne i kierując się racją najwyższą — dobrem i interesem narodu odzyskującego swe państwo, wszyscy oni okazali się zdolni do podjęcia opartej o kompromis współpracy. Francuskie określenie tego zjawiska „l'union sacrée polonaise”, to nie tylko efektowny i częściowo propagandowy zwrot dziennikarski. Wydarzeniom sprzed lat 70, jawiącym się w aureoli narodowego święta, towarzyszyć więc może refleksja o wymiarze ponadczasowym.

Wiesław Śladkowski

FAKTY I REFLEKSJE

Rząd lubelski Ignacego Daszyńskiego

Jan Lewandowski

Jedynym panem i gospodarzem tej ziemi jest naród polski. Naród, który przez dziesięć wieków miał tu własne państwo, broniące zachodniej kultury przed barbarzyństwem wschodu, imponujące sąsiadom swą potęgą.

Prawda, utraciliśmy samodzielną, lecz naród żyć nie przestał.

Przez sto lat przeszło myślą stwierdzał i czynem, że żyje i że naczelnym jego dążeniem jest odbudowanie państwa polskiego.

Dziś na ludność Lublina nie po raz pierwszy spada obowiązek zaświadczenia dobitnie, że:

Chcemy Polski całej i niepodległej, chcemy państwa własnego, niezależnego od któregośkolwiek z państw ościennych.

Chcemy mieć rząd własny, w którym udział brać będą wszystkie warstwy narodu i który zapewni wolność i równość przed prawem wszystkim obywatelom Polski.

PRYZOCZONE słowa to fragment odezwy Komitetu Zjednoczonych Stronnictw i Organizacji Niepodległościowych w Lublinie z 30 lipca 1915 r. Już wówczas, w momencie opuszczenia miasta przez wojska rosyjskie i wkroczenia doń armii państw centralnych, był Lublin najsilniejszym w Kongresówce ośrodkiem ruchu niepodległościowego, nie tylko entuzjastycznie witającym legionowych ułanów Beliny-Prądmowskiego, ale i zasilającym szeregi Legionów i POW dwoma tysiącami ochotników.

Takie oblicze polityczne miał również Lublin jesienią 1918 r., kiedy walka o kształt ustrojowy przyszłej Polski wkraczała w decydującą fazę. Główni, acz nie jedyni, pretendenci do władzy: obóz narodowy i ugrupowania niepodległościowe, pierwszy etap tej walki rozegrali właśnie tu, w Lublinie. W pierwszych dniach listopada bowiem tutaj dokonywała się likwidacja okupacyjnej władzy austro-węgierskiej, obejmującej południową część Kongresówki i przejmowanie władzy na tym terenie przez Juliusza Zdanowskiego, komisarza generalnego rządu warszawskiego. Rządu powołanego przez Radę Regencyjną, na którego czele stał Józef Świeżyński, przywódca narodowej demokracji w Królestwie Polskim. Sam Zdanowski był członkiem Ligi Narodowej i liczącą się postacią w obozie narodowym.

W tym samym czasie, 1 lub 2 listopada 1918 r., zapadła w Warszawie decyzja kierownictwa obozu niepodległościowego o utworzeniu w Lublinie „własnego”, lewicowego rządu, opartego o partie socjalistyczne i ludowe Galicji i Królestwa, Stronnictwo Niezawisłości Narodowej i Polską Organizację Wojskową. Znaczenie Lublina, jako centrum polityczno-wojskowego obszaru wolnego już od obcego panowania, określała ówczesna sytuacja polityczno-militarna; sąsiedztwo od południa z Galicją Zachodnią, wolną, rządzoną przez Polską Komisję Likwidacyjną, nie uznającą zwierzchnictwa rządu Świeżyńskiego, i Galicją Wschodnią, w której toczyły się walki polsko-ukraińskie; na północy i zachodzie — w Warszawie i całej pozostałej części Królestwa Polskiego trwały jeszcze okupacyjne rządy niemieckie. Armie niemieckie znajdowały się także na wschód od Kongresówki i stanowiły realne zagrożenie dla powstającej polskiej państwowości, nie dysponującej jeszcze własną, liczącą się, siłą zbrojną.

Po naradzie warszawskiej część jej uczestników znalazła się w Lublinie, aby podjąć przygotowania do swojego rodzaju zamachu stanu — obalenia Zdanowskiego i proklamowania ogólnopolskiego rządu. Między 3 i 6 listopada trwały w Lublinie gorączkowe działania obu stron. Zdanowski budował i umacniał swój aparat władzy, m.in. sprowadzając do Lublina z Warszawy batalion podległy Radzie Regencyjnej Polskiej Siły Zbrojnej, mianując starostów, a jednocześnie usiłując porozumieć się z przeciwnikami politycznymi, o których zamiarach był poinformowany. Decydującą o „być albo nie być” rządów Zdanowskiego stała się postawa POW. Próba pozyskania jej, a personalnie jej komendanta — Rydza-Smigłego, przez Zdanowskiego nie powiodła się i sam komisarz generalny zdawał sobie sprawę, że bez POW, a zwłaszcza przeciw niej, nie będzie w stanie sprawować władzy.

W czasie przetargów między Rydzem-Smigłym a Zdanowskim opracowano w Lublinie proklamację nowej władzy — Tymczasowego Rządu Ludowego Republiki Polskiej. Wydrukowany 6 listopada 1918 r. i w nocy z 6 na 7 listopada rozklejony na ulicach miasta manifest „Do Ludu Polskiego!” poprzedził sformowanie rządu, na którego czele stanął polityk z Galicji, socjalista, Ignacy Daszyński. Towarzyszyła temu atmosfera zamachu stanu, związana z internowaniem Zdanowskiego oraz przedstawicieli władz wojskowych podporządkowanych Radzie Regencyjnej. Znający lubelskie realia austriacki oficer, płk Arthur Hausner, zanotował w swoim dziuryszu:

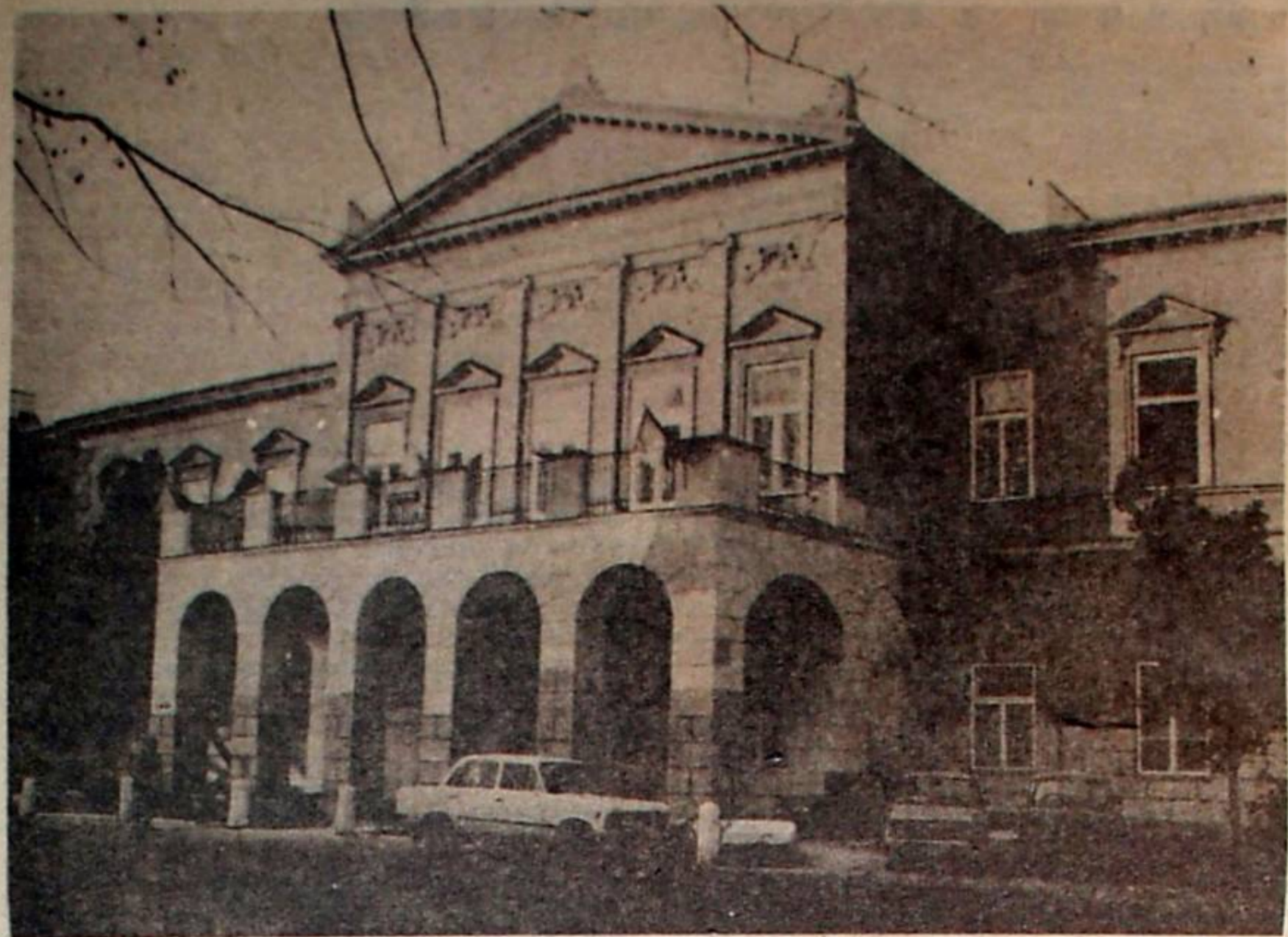
7 listopada, czwartek. [...] Ulice są jak wymarte: widzi się tylko tu i tam parę dziwnych postaci albo pędzące skądś auto z czerwonym sztandarem. Przed hotelem „Victoria” stoją na posterunku dwój osobliwej czeladnicy z karabinami, poczta i telegraf są obsadzone przez takich samych ludzi. Plac przed budynkiem Gubernatorstwa, na którym właśnie w ostatnich dniach panował tak ożywiony ruch, jest pusty. Warta naprawdę chodzi, ale składa się z typowych partyzantów, którzy noszą najprzeróżniejszą broń. Przy śniadaniu dowiaduję się, że dziś w nocy dokonano się zamach. Komendant POW ppłk Smigły-Rydz obalił przy pomocy swojej organizacji wojskowej dotychczasową władzę w Lublinie i objął miasto pod swoją władzę. Gen. Olszewski i ppłk Pasławski oraz komisarz generalny Zdanowski zostali internowani [...]. Rada Regencyjna i dotychczasowy rząd zostały uznane za usunięte. [...] Batalion Polskiej Siły Zbrojnej przyłączył się do robotników. [...] Lewica odrzuciła propozycję Rady Regencyjnej wzięcia udziału w rządzie i przygotowała się do sięgnięcia samodzielnie i bez ograniczeń po ster państwa. Zamach lubelski byłby tylko wstępem do analogicznego przewrotu w Warszawie. Były austriacki poseł Daszyński byłby duchowym sprawcą zamachu stanu i lada godzina jest oczekiwany w Lublinie [...]. Przybywam do hotelu „Victoria”, gdzie ma mieszkać Rydz. Dwa bardzo obdarzone wyglądające posterunki oddają mi bardzo energicznie honory wojskowe. [...] Idę do Gubernatorstwa. Przy wejściu do dawnego Oddziału Sztabu Generalnego stoi na posterunku bosy człowiek, który nienagannie prezentuje broń i pozwala mi wejść. [...] Bardzo skromnie odziani oficerowie i cywile pracują przy stołach, wydają polecenia, przyjmują meldunki, itp.

Oczekiwany w Lublinie Daszyński przybył z Krakowa po południu 7 listopada. Wieczorem w gmachu byłego Generalnego Gubernatorstwa Wojskowego, przy placu Litewskim 3, odbyło się inauguracyjne posiedzenie pierwszego suwerennego rządu II Rzeczypospolitej. Jak pisał Wincenty Witos: Rozpoczęło się ono o bardzo dużym opóźnieniu. Ministrów prawdziwie po ludowemu zasiadli w sali zarzuconej po kolana papierami, gdyż niedawno wyprowadzili się z niej urzędnicy okupacji austriackiej, a nikt jakoś nie kwapił się do sprzątnięcia. Może być, że śmiecie owe pozostawiono dla specjalnego efektu.

Tymczasowy Rząd Ludowy Republiki Polskiej utworzyły partie i organizacje lewicy niepodległościowej: Polska Partia Socjalno-Demokratyczna Galicji i Śląska Cieszyńskiego (Ignacy Daszyński — premier, minister spraw zagranicznych i sprawiedliwości), Polska Partia Socjalistyczna (Tomasz Arciszewski — praca i opieka społeczna, Marja Malinowska — roboty publiczne i Bronisław Ziemięcki — minister bez teki), Polskie Stronnictwo Ludowe „Wyzwolenie” (Stanisław Thugutt — sprawy wewnętrzne, Juliusz Poniatowski — rolnictwo i aprowizacja, Tomasz Nozicki i Błażej Stolarski — bez teki), Stronnictwo Niezawisłości Narodowej (Medard Downarowicz — skarb i kooperatywy, Wacław Sierozzewski — propaganda i prasa) i Polska Organizacja Wojskowa (Edward Rydz-Smigły — wojsko).

W gabinecie Daszyńskiego nie było polityków lubelskich, niemniej do rządu już wkrótce przylgnęło określenie „lubelski”. O jego lokalizacji zdecydował cały splot czynników. Lublin był wolny, a w Warszawie liczone się jeszcze z koniecznością zbrojnej walki o wyzwolenie. Ziemię byłej okupacji austriackiej traktowano więc jako bazę operacyjną, z której miało rozpocząć wyzwolenie okupacji niemieckiej. Wolny był wprawdzie Kraków, ale siły lewicy niepodległościowej nie miały tam ta-

Dokończenie na str. 6



Tu w gmachu przy pl. Litewskim 3 w Lublinie, odbyło się 7 listopada 1918 roku posiedzenie pierwszego suwerennego rządu II Rzeczypospolitej. Fot. Andrzej Polakowski

Rząd lubelski

Dokończenie ze str. 5

kiego oparcia, jak w Lublinie i Lubelskiem, gdzie dominowały wpływy PPS, „Wyzwolenia” i POW.

Nie sposób nie wspomnieć o lubelskiej scenerii, w której przygotowywano utworzenie rządu Daszyńskiego i w której przyszło mu działać. Członkowie przyszłego rządu spotkali się w mieszkaniu Saturnina Osieńskiego przy ulicy Ogrodowej i Władysława Kunickiego przy Namieśnikowskiej (obecna Narutowicza), mieszkali w „Victorii” na rogu Krakowskiego Przedmieścia i Kapucyńskiej (Osterwy). 7 listopada 1918 r. na placu przed lubelskim kościołem katedrałnym kilkuset żołnierzy złożyło przysięgę na wierność nowemu rządowi. Trzy dni później z werandy siedziby rządu przy pl. Litewskim 3 premier Daszyński wygłosił przed rękami do uczestników wiecu zorganizowanego przez PPS i PSL „Wyzwolenie”. Lubelska młodzież: harcerze, uczniowie, czeladnicy i robotnicy, podlubelscy chłopcy z POW stanowili zbrojne ramię rządu ludowego nie tylko z nazwy.

Z perspektywy dziejów II Rzeczypospolitej miało się okazać, że ten pierwszy suwerenny gabinet zdobył się na najbardziej postępowy program rządowy w latach 1918—1939. Najważniejsze punkty tego programu to ogłoszenie powstania niepodległego państwa polskiego o republikańskim ustroju (Polska Republika Ludowa), „obejmujące sobą wszystkie ziemie zamieszkałe przez lud polski, z własnym wybrzeżem morskim”, zapowiedź wprowadzenia demokratycznego prawa wyborczego, „powołanie obywatelskiego i bezpłatnego świeckiego nauczyciela szkolnego”, zrównanie obywateli wobec prawa, zapewnienie wolności słowa, sumienia, zgromadzeń, związków zawodowych i strajków. Donacje, majoraty i lasy — zapowiadano w manifestie — zostaną przejęte przez państwo. Zostanie wprowadzony ośmiodziesięciodziennej pracy, utworzona milicja ludowa i zreorganizowany, w duchu demokratycznym, samorząd miejski i wiejski. W manifestie zapowiedziano, że rząd wnieśnie na forum przyszłego Sejmu Ustawodawczego projekty ustaw o przymusowym wyłączeniu wielkiej i średniej własności ziemskiej, o upaństwowieniu kopalni, przemysłu żelaznego i „innych działów przemysłu, gdzie się to da od razu uczynić”. Robotnikom zapewniono udział w administrowaniu tym zakładami przemysłowymi, które nie zostaną od razu upaństwowione. Zapowiedziano wniesienie do Sejmu prawa o ochronie pracy.

Manifest Tymczasowego Rządu Ludowego sygnalizował główne kierunki dążeń narodowych w Polsce w dobie narodzin II Rzeczypospolitej. Obok treści ważna jest też forma manifestu, język jakim został napisany, oddający z jednej strony to, co nazywamy „klimatem epoki”, z drugiej zaś przekonanie o patriotyzmie i żywotnych silech adresata manifestu — polskiego ludu. Pisanie:

Robotnicy, Włościanie i Żołnierze Polskiej Nad skrwawioną i umęczoną ludzkością wschodni zorza pokoju i wolności. W gruzach walą się rządy kapitalistów, fabrykantów i obszarników — rządy

militarnego ucisku i społecznego wyzysku mas pracujących. Wszędzie lud pracujący dochodzi do władzy. I nie załwita lepsza dola nad narodem polskim, jeżeli rdeń i olbrzymia jego większość — lud pracujący nie ujmie w swoje ręce budowy podwalin naszego życia społecznego i państwowego. Ludu polski! Polski chłopie i robotniku!

Jeżeli chcesz zająć należne Ci miejsce w rodzinie wolnych narodów, jeżeli chcesz sam być gospodarzem na swojej własnej ziemi, to musisz w swoje ręce ująć władzę w Polsce, musisz sam budować gmach Niepodległej i Zjednoczonej Ludowej Rzeczypospolitej Polskiej.

Sytuacja, w której przyszło działać rządowi Daszyńskiego, zmieniała się dosłownie z dnia na dzień. 9 listopada w Berlinie wybuchła rewolucja, a 10 listopada przybył do Warszawy uwolniony z twierdzy magdeburskiej Piłsudski. W dniu następnym Daszyński i Rydz-Smigły udali się do stolicy, która właśnie wyzwalała się spod okupacyjnych rządów niemieckich. 11 listopada Piłsudski powierzył Daszyńskiemu misję utworzenia rządu z udziałem polityków endeckich. Działający nadal pod kierownictwem Thugutla w Lublinie Tymczasowy Rząd Ludowy wydał 17 listopada „Dekret o ośmiodziesięciodziennej pracy” i ustanowił „Warunki służbowe minimalne dla niższej służby folwarcznej (parobków)”. Po niepowodzeniu warszawskiej misji Daszyńskiego 18 listopada Piłsudski powołał następny Tymczasowy Rząd Ludowy z siedzibą w Warszawie z Jędrzejem Moraczewskim na stanowisku premiera. Kończył się „stołeczny” epizod w dziejach Lublina. Stołeczność wracała do Warszawy, ale obejmujący władzę Piłsudski musiał liczyć się z faktami dokonanymi przez jego zwolenników w Lublinie.

Listopadowe wydarzenia sprzed siedemdziesięciu lat mają z dzisiejszej perspektywy wielowarstwowy wymiar. Najczęściej, przy każdej rocznicy, wracamy do warstwy faktów, siłą rzeczy tych samych, co najwyżej różnie dobieganych, interpretowanych i akcentowanych. Bardziej zmienna jest już warstwa ocen, formułowana nie tylko przez pryzmat tego, co zwykle się nazywa perspektywą czy dystansem historycznym, ale także pod naciskiem bieżących realiów w momentach kolejnych obchodów. Czasem wracamy do klimatu, atmosfery tamtych listopadowych dni, przywołując ówczesne dokumenty, publicystykę, diariusze. Najbardziej chyba błądzą do warstwy wartości, nie zawsze wyrażanych wówczas wprost, ale przecież wszechobecnych w tych bez przesady wielkich, przełomowych lubelskich dniach. Tymczasem to one, wartości-kłee, stanowią główny powód, dla którego wracamy do tamtych wydarzeń. Te wartości to: suwerenność, ludowładztwo, demokracja, sprawiedliwość. Po siedemdziesięciu latach, zapisanych nadziejami i kryzysami, demokracjami i dyktaturami, szansami i śmiertelnymi zagrożeniami egzystencji państwa i narodu, kolejne generacje Polaków wpisują te wartości do swoich programów jako podstawowe cele do osiągnięcia. Czy jesteśmy dzisiaj bliżej tych wartości niż w listopadzie 1918 r.?

Jan Lowandowski

70-lecie Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego

DEO ET PATRIAE

CZY można w jednym artykule prasowym opisać czyjs jubileusz 70-lecia? Rzecz tym trudniejsza, iż nie jest to jubileusz pojedynczego człowieka, to jubileusz instytucji — jubileusz uczelni; uczelni, do której się samemu nie uczęszczało, którą znało się tylko z przygodnych kontaktów towarzyskich, która, w danym wypadku, pozostawała poza obszarem lokalno-patriotycznego uczucia. Jak słusznie zapisano w „Księdze jubileuszowej 50-lecia Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego”, cyfry i dane statystyczne to jeszcze nie prawda o uczelni; nawet studenci i naukowcy to także jedynie jej część. Prawda to związek emocjonalny z tym miejscem, to jego zrozumienie i przeżywanie. Pozostaje zatem tylko tropić drgania ludzkich serc.

Lata pierwsze. „Na Uniwersytecie rojno było i gwaro. Było dużo osób starszych, męatek. Zająć były usystematyzowane i praca szła pełną parą, tylko warunki bytowe były bardzo trudne. Dziedziniec nieuporządkowany i pełen gruzów, zaniedbany, tworzył czworokąt otoczony murami dużego dwupiętrowego gmachu, który kiedyś był klasztorem dominikańskim, a w końcu XVIII wieku został zamieniony na austriackie koszary, mocno zdewastowany. Wzdłuż murów, brudnych i ze zniszczonym tynkiem, położony był chodnik ze starych, tu i ówdzie dziurawych desek. Na zamknięcie roku akademickiego 1920—21 ksiądz rektor urządził dla młodzieży zabawę i do godziny czwartej rano przewijała się jego wysoka, z lekka przygarbiona, czarna postać wśród zaproszonych gości. Mile uśmiechnięty, rozmawiał z nami, zachęcał do tańca, dopytywał się o domowe sprawy, dla każdego miał serdeczne słówko i dobry uśmiech.

Opowiadały koleżanki, że 11 stycznia 1920 roku Naczelnik Państwa Józef Piłsudski będąc w Lublinie odwiedził również nowo powstałą uczelnię, wygłaszając piękną mowę...” Tak wspomina KUL jeden z jego najstarszych wychowanków.

Kiedy lubelskie gazety ogłosiły 27 września 1918 roku, że można zapisywać się na właśnie otwarty Uniwersytet Lubelski, zgłoszeń było sporo. „Od zgłaszających się wymagano przedłożenia świadectwa dojrzałości ośmioklasowej szkoły średniej ogólnokształcącej o kierunku filologicznym lub realnym, a oprócz metryki urodzenia, także metryki chrztu, przez co wyłączone kandydatów wyznania mojżeszowego”. „Przepisy dla studentów” drukowano w Warszawie, jeszcze za zgodą niemieckich władz okupacyjnych. Ale już termin rozpoczęcia zajęć, wyznaczony na 27 listopada tegoż roku, nie został dotrzymany. Studenci zwołali wiec i uchwalili rezolucję: „Z boleścią widzimy, że społeczeństwo starsze jest rozbita sprawami partyjnymi, że brak w nim solidarności. Młodzież jest solidarna. Postanowiliśmy gremialnie wstąpić w szeregi armii polskiej”. Pierwszych wykładów słuchały więc duchowni, kobiety i ci spośród świeckich mężczyzn, którym właściwie komisje wystawiły świadectwo niezdolności do służby wojskowej.

PODOBNO dwa razy w życiu przeżywa człowiek sentymenty, związane z pragnieniem powrotu do źródła; do czasu, który go tak na dobre ukształtował, do przyjaźni, które okazały się tak kruche, choć były tak intensywne. Jak twierdzą wtajemniczeni, ten pierwszy raz oznacza środek, drugi zaś koniec ludzkiej drogi.

Cheć ponownego spotkania w gronie klasowym dojrzała w nas powoli choć systematycznie. Zaczęło się od przypadkowych kontaktów indywidualnych, potem mniejsze grupki tworzyły większe, aż wszystko wzięło w ręce „Mitek”, znany ze swych zdolności integrujących. Sporządził listę i zaczął ustalać „namiary”. Już na starcie okazało się, że wszystkich nie uda się zwerbować. Fala wcześniejszej i najnowszej emigracji nie ominęła i naszych szeregów. Trudno tropić kogoś „za wielką wodą”. Może na „okrągłą” rocznicę, ale to już całej szkoły, zjawia się kiedyś podtatusiały biznesmeni. Na razie musieliśmy kontentować się wspomnieniami. W jednym, jedynym przypadku, nawet najbardziej intensywnie poszukiwania nie by nie dały — Irma zginęła w wypadku samochodowym pięć lat temu. Świadomość, że kogoś spośród nas nie ma już tak naprawdę, okazała się szokiem. Przecież, do diabła, miał to być dopiero środek drogi!

Kiedy podjeżdżałem z Adamem do domu Danki, nie był to już ten sam

KOLEŻEŃSKI ZIAZD

czyli pómietek pokolenia

Tak od pierwszych dni realizowało się w praktyce hasło umieszczone na uniwersyteckiej pieczęci: „Deo et Patriae”.

Początkowy okres funkcjonowania uniwersytetu, a więc lata 1918–27, znaczący się walką o materialne zabezpieczenie uczelnianej egzystencji, a także o uzyskanie statutu uczelni państwowej. Początkowo bowiem uznano KUL za „prywatną szkołę akademicką”. Dopiero w roku 1938 uzyskała uczelnia pełne prawa uniwersytetu państwowego. Ale były to już lata prosperity, stabilizacji, i rozwoju. Na czterech wydziałach trwała rytmiczna i wyjątkowa praca; uzyskiwano magisteria, broniło doktoraty, wydawano i publikowano.

Lata najcięższe. „Przygnębiony wiadomościami i pełen przykrych przeczuć poszedłem późno spać w czwartek 31 VIII 1939 roku — wspomina książkę Józef Pastuszka. — Budziłem się w nocy, ale radio milczało. Około godziny 5.30 nastawiłem radio niemieckie i od razu usłyszałem chrapliwy, szczebioczący głos Hitlera, że «wojska polskie rozpoczęły ostrzeliwanie granicy i wojska niemieckie zmuszone są do obrony». Szybko się ubrałem i wyszedłem na korytarz, gdzie spotkałem księży sąsiadów, równie jak ja podnieconych, komentujących wybuch wojny [...] Od 5 września zaczęły nieprzerwanie płynąć przez miasto korowody uciekinierów. Wieczorami przybierało ono niesamowity wygląd: całkowiście zaciemnienie, masy sunących bez świateł samochodów wojskowych i cywilnych, tłumy pieszych uciekinierów z walizkami, plecakami, a obok maszerujące wojska polskie, idące na front lub z frontu. Po drugim bombardowaniu, które jednak Uniwersytetu nie dotknęło (tylko dwie bomby spadły w bliskim sąsiedztwie), zrozumieliśmy, że zajęcie przez Niemców Lublina jest nieuchronne”.

Na mocy uchwały Senatu, której nie przedłożono do zatwierdzenia władzom okupacyjnym, rozpoczęto wykłady na KUL-u w piątek, 6 października 1939 roku. Tymczasem 9 listopada aresztowano na ulicy

rektora, a 11, w rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości, osadzono na Zamku Jedenaśtu profesorów. Dwóch z nich, prof. Cz. Martyniak i M. Niechaj, zostało rozstrzelanych w przeddzień wigilii 23 grudnia 1943 roku wraz z innymi przedstawicielami lubelskiej inteligencji. Inni trafili do obozów koncentracyjnych. Do Sachsenhausen wywieziono Wielkiego Kanclerza KUL-u, biskupa M. Fulmana. A jednak wykłady prowadzono uparcie aż do 17 XI 1939 roku. W tym dniu okupanci zamknęli biura uniwersyteckie i rozprędzili urzędników, a studentów z sal wykładowych wywieźli dwoma samochodami ciężarowymi w nieznanym kierunku. Noc okupacyjna rozparła się także nad uniwersyteciem. Jak całe patriotyczne polskie życie został on zmuszony zejść do podziemia.

Już od początku grudnia 1939 roku rozpoczęło się nauczanie tajne. W trzech ośrodkach: w Lublinie, Kielcach i Warszawie trwały nieprzerwanie aż do końca wojny, znacząc swoje istnienie ofiarami krwi wykładowców i studentów. Deo et Patriae.

Lata ograniczonej tolerancji. „Pewnego czerwcowego dnia roku 1951 wszedłem na uniwersytecki dziedziniec — wspomina Bohdan Królikowski — co prawda nie z przysłowiową duszą na ramieniu, ale z niepewnością i respektem. Świeżo upieczony maturzysta, nawet jeszcze bez papieru w kieszeni, wracający ze szkolnej wycieczki nad morze. Siedemnastolatek w półwojskowym drelichu organizacji «Służba Polsce», w haftowanej rogatywce szkolnej z czarnego aksamitu z malinowym otokiem, niepewny jeszcze, czy uda się tę czapkę zamienić na białą, studencką. Budynek w remoncie. Jedno ze skrzydeł zastawione rusztowaniami. Tak już potem było niemal zawsze. Prawie nie pamiętam Uniwersytetu bez rusztowań. Otoczenie inne niż dziś. Same baraki. Także na miejscu hotelu «Unia». [...] Dzisiejsi studenci może by uznali nasze wieczorki z laski za dyskoteki. Tylko co to za dyskoteka bez jazzu? A jazz był wtedy wyklęty.

Tańczyliśmy, co najwyżej, fokstrotta, czasem rumbę i to ze świadomością, że działamy bardzo wbrew polityce kulturalnej. Poza tym nie mieliśmy magnetofonów. Staroświeckie tłukące się płyty uchodzący za szczył luksusu. Nosiliśmy marynarki dwurzędowe...”

Z chwilą wyzwolenia spod okupacji hitlerowskiej Katolicki Uniwersytet Lubelski był pierwszą wyższą uczelnią kraju, która wznowiła swoją działalność. 23 sierpnia 1944 roku podjęto decyzję o rozpoczęciu naboru na pierwszy rok studiów. Skromne to były początki — siedemnastu wykładowców i około stu studentów. Później przyszedł rok „ograniczonej tolerancji”. Zlikwidowano niektóre kierunki (filologie nowożytne), na absolwentów, zamiast magistranckich posad, czekało nieraz choćby noszenie bankowych worków z pieniędzmi. Ale już swoje 50-lecie w 1968 roku obchodził KUL w pełni chwały. Odbły się podniosłe uroczystości, wyćrukowano księgę jubileuszową. Nadchodziły dobre lata.

Lata tłuste. „Nie ulega wątpliwości — wspominają ówczesni studenci — że wykłady profesora Wojtyły cieszyły się na uniwersytecie od początku ogromnym zainteresowaniem. W auli zawsze brakowało miejsc, studenci siedzieli na krzesłach, parapetach okien, wreszcie na podłodze. Absolutną nowością stało się wyprowadzenie części zajęć poza ciasne mury dawnego klasztoru. Seminarium i ćwiczenia wyprowadził Wojtyła nad jeziora, do lasu i nad brzegi rzek. To wówczas narodził się przydomek «Wujek», przyjęty potem przez jego młodych przyjaciół w całym kraju. Dyskusje przy ognisku i w czasie długich pieszych wycieczek wzbogacane o osobisty wymiar: pobudzały intelektualnie. Teraz, aby zasłużyć na miano dobrego asystenta, należało nie tylko dysponować stosowną wiedzą, lecz także umieć jeździć na nartach, mieć mocne i zdrowe nogi i kochać naturę”.

Istnieją, rzecz jasna, różne własne odniesienia. W takich jednak, jak się wydaje, cezurach zamyka się siedemdziesięcioletnia działalność uniwersytetu. Związany narodzinami z odrodzoną Rzeczpospolitą, dzieląc solidarnie losy narodu wypełniał swe statutowe powołanie: „Uniwersytet w Lublinie jest instytucją naukową, mającą za zadanie prowadzenie badań naukowych we wszystkich dziedzinach wiedzy, przygotowanie przyszłych badaczy naukowych oraz dawanie młodzieży bezstronnej i gruntownego wykształcenia naukowego, niezbędnego do umiejętnej, samodzielnej i pożytecznej działalności zawodowej i społecznej. Rozwijając umysły słuchaczy Uniwersytetu ma zarazem na celu wyrobienie w nich silnych i szlachetnych charakterów, by przez to przysparzać krajowi dzielnych obywateli”.

Ponad trzydzieści tysięcy studentów przewinęło się przez mury uczelni w ciągu tych minionych siedemdziesięciu lat, a ilu profesorów? Dorobek naukowy KUL-u mierzy się tysiącami publikacji, rozległą współpracą międzynarodową, wzbogacaniem znanych już naukowych treści. Doczekał się uniwersytet najwyższej wizytacji z samej Stolicy Apostolskiej, od której był niegdyś „erygowany”. Jego profesor stanął na czele Kościoła rzymsko-katolickiego. A iluż sławnych później ludzi przemierzało KUL-owskie korytarze? A koła naukowe? Scena Plastyczna? Mnożyć by można osiągnięcia i tytuły do chwały. A jednak spacerując kruzgankami uniwersyteckimi najpełniej zachowałem w pamięci głosy; głosy wielu ludzi, którzy tutaj zdobyli wiedzę i przeżywali uniesienia młodości. To one pozwoliły mi najpełniej zapatrzeć się w czas, który tutaj przeminał.



Z uroczystych obchodów 70-lecia KUL

Fot. Jan Trembecki

Wiesław Horabik

dom, w którym urządziliśmy pamiętną, pomaturalną potańcówkę tylko dla naszej klasy. Tamten był drewniany, osadzony niepewnie w wielkim owocowym sadzie. Ten nowy rozpocierał się ceglany prostokąt w nagim krajoznictwie miejskiego przedmieścia. Nie skrywały się w jego ścianach stuletnie szepty, ale za to pęczniał dorobkiem nowych czasów, bezfantazyjnym wzbogacaniem pośpiesznego wieku unifikacji. Wąska siatka okalała rachityczny trawnik, na którym z rzadka smęciły się jesienne kwiaty. Za to okna gorzały od blasku, a na betonowym placu naprzeciw ustawili się wcale niemały rząd różnokolorowych pojazdów. Przeważały wśród nich „maluchy”, tu i ówdzie zabielił się trabant, ale była i jedna supermaszyna toyota corona, w kolorze metalic.

— To musi być Zbycho — zawyro-kował Adam. — Ten miał zawsze łeb do forsji i cug do motoryzacji. Pamiętasz, jak już do szkoły przyjeżdżał motorynką?

Mieliśmy być tylko w gronie własnym, bez „przyległości”, jak dwadzieścia dwa lata temu. Jedyny wyjątek stanowił mąż Danki. Trudno było go wyeksmitować z własnego domu.

„Zachciało im się przyjeżdżać samochodami” — mamrotałem pod nosem. „Już widzę, że z całej imprezy będzie klops”. — Przecież bez wódki tego nie zrozumiesz — powiedziałem na głos.

— Nic się nie bój — odparł Adam — Zadekujemy się tu na całą noc. Weszliśmy między druciane opiótki.

U Danki nie zmieniły się tylko oczy. Zaglądałem kiedyś w nie z nadzieją, ale „kudy mi było tam” choćby do Tadka, który posuwał na gitarze, jak nie przynierzając, Hendrix.

— A ty, co ze sobą zrobiłeś? — Jakaś ryza głowa pojawiła się nad ramieniem gospodyni.

Obronilem się wytartym sloganem, że ktoś musi, u licha, dobrze wyglądać w całym tym skrzyśiałym kraju. Świdrujące oczka suchego jak tyka czołowego koszykarza szkoły nie przestały lustrować mnie pogardliwie.

— Ale ty, za to, chyba trochę podrosłeś — zwrócił się wreszcie do Adama.

Jak się później okazało, nie tylko mnie przybyło na wadze.

Kiedy ich ujrzałem wszystkich, jakichś takich sztucznie ożywionych i zindywidualizowanych, nie obudziło się z moich pielęgnowanych od paru tygodni tęsknot. Jędrka i Witka nie poznałem (zawsze śladywali gdzieś po klasowych kątach), Agnieszka wyrosła na potężną kobietę. A Hanka, moja Hania, dla której pisywałem nocami łzawo opowiadania, biegalem do kina „Przyjaźń” dziesiątki razy na ten sam film, ubierałem się w tożę światowca i bikiniarza... ach, szkoda gadać! Tubalnym głosem powitał mnie „Dżac”, z godnością uniósł się Marian, a Baśka i Helena, wówczas już z zadatkami na ciche kurki domowe, nie umknęły swemu przeznaczeniu. Tu już nie szło o stabilizację, odciniętą faldką tłuszczu tu i faldką tłuszczu tam, ale

gdzie był ten luz beatlesów, pasja jątrzącego wówczas „Przebaczymy i prosimy o przebaczenie”, melancholia „Przemienię z wiatrem” i zawiadacka szorstkość „Jeźdźca znikąd”?

Byliśmy pokoleniem big-beatu i kina. Mżyły się już, owszem, jakieś mgliste pasy na szklanym ekranie, ale jeszcze telewizja nie zajeżdżała naszej woli.

Byliśmy dziećmi „Czerwono-Czarnych” i Johna Wayne’a, Heleny Majdaniec i Toma Courtney’a, a za „Toma Jonesa” z Albertem Finneyem w roli głównej omal nie wyleciałem z budy. Wówczas, na koncertach, nikt nie słyszał o „pogo”, wywijalo się tylko marynarkami. Byliśmy jednak także dziećmi malej, gomulkowskiej stabilizacji. Wielkie drżenie „Października” już przemienię, „Marzec” miał nas zahaczyć tylko bokiem i z daleka, a cały ciąg lat osiemdziesiątych nie inil się jeszcze żadnemu ze „speców od polskich spraw”. To dzisiaj także wypłył, pokwasił nas i spodejrził, wybuchnie krótkim krzykiem i rozszepczę się szeptami. Ale, wiadomo — to Polska! Tu nie gada się w towarzystwie o trawnikach ani o „tym cholernie zatłoczonym meczu”. Tu, bracie, zawsze „krew i blizna”. Zerowski i Sienkiewicz, Rakowski i Wałęsa. Tu, bracie, głębia jest i gorzyc jest. Nie dla nas dyrdymuski znużonej zasobności. Tu, bracie, wszystko drży jak narowisty koń. Dobrze, że nie ma już lwowskiej zaprzęźności, a „Pierwsza

Brygada” tylko ot tak, dla fantazji, bo teraz już wolno...

Ale to było potem.

Na początku zjawilo się żarcie; jakby kartki zniszono i odbudowano marnie mitkowych rodziców. Wielkie żarcie, kupa żarcia i „ochy i achy”. I jak na polskim przyjęciu — grzeczno, słodko i potulnie, dopóki krzepki „polonez” nie zakurzy głowy, dopóki konwenanse nie odejdą precz. Ale nie takie to już będą gadki, jak po sztabackim „jabcoku”. Jeszcze trochę się ostanie wspominków. „Pamiętasz, jak w pracowni chemicznej wybuchła re-torta?”. „Ten biolog — to był fajny facet”. „A „Pyza”? „Pyza” (nasza wychowawczyni) powinna tu być razem z nami”. Ale już zaraz się zacznie: „Te, major, co cię tam poniosło w te cholerne kamasze?”

„Panowie, dajcie spokój!” „Panowie”, tak, tak, już nie „chlopaki”.

Świata wszakże nie zburzyliśmy, a wszystko i tak skończyło się przy „okrągłym stole”. Wiadomo normalnie, jak „w naszym narodzie”.

Przedtem jednak była wyliczanka; co, kto, gdzie i z kim. Przedstawialiśmy się jak w telewizji, po kolei, sznurkiem, a tu i ówdzie zabłysnął usmiech, tam i ówdzie wykłzył grymas. Z nabożeństwem i po porządku rozliczał się każdy z lat dwudziestu, zatając to i owo, by rozdmuchać znów

Dokończenie na str. 15

RUTYNOWO rozwieszono chorągiewki na trasie przejazdu, przy czym część brytyjskich zniknęła jeszcze przed końcem wizyty (podejrzałbym o tę inicjatywę futbolowych fanów).

Wizyta pani Margaret Thatcher w Polsce rozpoczęła się w szczególnym okresie. Rząd przystąpił do radykalnego porządkowania gospodarki, rozpoczynając od likwidacji stoczni im. Lenina w Gdańsku. Niektórzy próbowali nadać tej decyzji wymiar pozagospodarczy. Powstały obawy, aby pani premier, znana z autorytarnych wypowiedzi tak w kwestiach wewnętrznych jak i międzynarodowych, nie zechciała komentować aktualnej sytuacji w naszym kraju. Obawy takie wyraził Wojciech Jaruzelski w wywiadzie dla londyńskiego „Guardiana”. Jednak brytyjscy oficjale, jeszcze na pokładzie samolotu wiozącego panią premier, po-

dziesięciu już lat działa on aktywnie na linii współpracy kulturalnej między Zjednoczonym Królestwem i Polską.

Warszawiacy otrzymali także szansę spotkań mniej formalnych z panią premier: w programie znalazło się zwiedzanie Hali Mirowskiej. Obserwatorzy żartowali, że miało to być zetknięcie Margaret Thatcher z polskim wolnym rynkiem. W istocie chodziło o umożliwienie takiego właśnie bezpośredniego kontaktu z ludźmi. Mieszkańcy stolicy patrzyli na szefową brytyjskiego rządu przede wszystkim jako na niezwykłą kobietę. Jeszcze przed wizytą niemal wszystkie krajowe mass-media z telewizją na czele, nad takim właśnie jej wizerunkiem pracowały. Zaangażowano do tego celu znanego facecjonistę, Zygmunta Broniarkę, a były polski ambasador w Londynie także dorzucił głos „domowych” szczegółów. Przed spotkaniem z panią Thatcher

cież jednym z głównych rzeczników amerykańskich sankcji gospodarczych. Pozostałości tego stanu są nadal przez polską ekonomikę odczuwalne.

Szczególnie ważnym elementem pobytu Margaret Thatcher w Polsce były jej spotkania z Wojciechem Jaruzelskim. Do Belwederu dopuszczono tylko fotoreporterów ze wspomnianego powyżej poolu, ale przed spotkaniem porannym z premierem Rakowskim udało mi się do tej grupy dołączyć i znaleźć pośród uprzywilejowanych w salach Urzędu Rady Ministrów. Pierwszy przybył na spotkanie minister Olechowski. Premier Rakowski w oczekiwaniu na brytyjskiego gościa żartował z najbliższymi współpracownikami. Pani Thatcher pojawiła się w szybkim czarnym kostiumie i prostym srebrnym naszyjniku, z dużą białą broszką w kształcie kwiatu. Pozując fotoreporterom pytał premier Rakowski płynną

sprawy powodów do kompleksów. Jest wiec nam obca podwójna moralność, selektywne podejście do praw człowieka, dzielenie ich na lepsze i gorsze.

Po pierwszej turze rozmów ogłoszono pragnienie ich kontynuowania. General Jaruzelski towarzyszył także Margaret Thatcher podczas uroczystości na Westerplatte. Potwierdzeniem osiągniętej zbieżności stało się także zaprotokolowane przybycie przewodniczącego Rady Państwa na wojskowe lotnisko Okęcie, gdzie wziął on udział w ceremonii pożegnania brytyjskiego gościa.

Jeden z dziennikarzy brytyjskich powiedział mi: „Zobacz pan, że konferencja prasowa będzie trwała dokładnie dwadzieścia dziewięć minut i pięćdziesiąt siedem sekund. To już żelazna zasada w przypadku pani Thatcher. Ona twierdzi, że po pół godzinie dziennika-

Pani premier w Polsce

Wiesław Horabik

wiedzieli reporterom, iż nie zamierza ona ingerować w wewnętrzne sprawy Polski. „Będziemy gośćmi w tym kraju i nie mamy intencji mieszania się do polskich problemów” — brzmiał tekst oświadczenia. „Nie będę komentować ostatnich wydarzeń, dopóki nie spotkam się ze wszystkimi moimi rozmówcami” — dodała pani Thatcher.

Warszawa powitała panią premier wietrzną pogodą. Czekający na lotnisku politycy i dziennikarze potężnie zmarzli. Szefowa brytyjskiego rządu, ubrana w beżowy płaszcz z futrzanym kołnierzem i w takąż futrzaną czapkę, sprawiała w świetle jupiterów wrażenie nieco zmęczonej. Nie było przemówień powitalnych i po odebraniu defilady kompanii honorowej Margaret Thatcher i Mieczysław Rakowski odjechali pośpiesznie do rządowej rezydencji przy ulicy Parkowej na pierwszą turę rozmów. Jeszcze przed wizytą pani Thatcher stwierdziła, iż zamierza spotkać się w Polsce z możliwie najszerszą reprezentacją sił politycznych i społecznych. Obok spotkań oficjalnych z przywódcami naszego kraju rozmawiała więc w środę z prymasem Glempem, w czwartek spotkała się w Sejmie z członkami Rady Konsultacyjnej przy przewodniczącym Rady Państwa, a prywatną część jej pobytu obejmowała rozmowa z Lechem Wałęsą. Nadawało to wizycie charakter do pewnego stopnia sondażowy. Ci obserwatorzy, którzy oczekiwali daleko idących deklaracji rozszerzenia polsko-brytyjskiej współpracy, zawiedli się. A jednak wizyta miała bez wątpienia charakter wydarzenia historycznego.

Była pierwszą wizytą brytyjskiego premiera w Polsce. Jej wpływ na całokształt stosunków Wschód — Zachód trudno przecenić. Było to również spotkanie z politykiem światowego formatu.

Pani Thatcher, zgodnie ze swym zwyczajem, nie przywiozła do Warszawy żadnego z wysokich urzędników rządu. Jak powiedział mi jeden z angielskich dziennikarzy: „Ona kocha załatwiać wszystkie sprawy sama. Na scenie politycznej nie znosi konkurencji”. Towarzyszyły za to pani premier: fryzjerka i manikiurzystka oraz czterech speców od public relations, tj. stosunków międzyludzkich. Jak zwykle elegancka, Margaret Thatcher podczas całej wizyty emanowała niespożytą energią. Pożłaski o jej pracowitości znalazły w Warszawie pełne potwierdzenie. Z konieczności (krótki okres pobytu) program jej zajęć był bardzo napięty. Znalazło się w nim jednak miejsce na troche polsko-brytyjskich związków. Symbolem tego nurtu były choćby odświeżone w British Institute. Od pięć-

panowało na ogół pragnienie, by ją zobaczyć i...no, co prawda nie umrzeć, ale przynajmniej trochę poplotkować. Warszawskie kontakty bezpośrednie zdominowało więc uczucie ciekawości. Pani Thatcher okazała się osobą bardzo otwartą i sympatyczną. Z uwagą wysłuchiwała opinii o życiu polskiej stolicy, żartowała i dzieliła się londyńskimi doświadczeniami. Wykazała się także kupieckim sprytem. Słój marynowanych prawdzików nabyła za sześć tysięcy złotych, wobec ceny wywoławczej... dwadzieścia pięć tysięcy. Również gdańszczenie podczas spaceru po Długim Targu mieli okazję do swobodnych rozmów z brytyjskim premierem.

Nawiązaniem do tradycji polskiego oręża była uroczystość przed Grobem Nieznanego Żołnierza oraz pobyt na Westerplatte. Na plycie Grobu Nieznanego Żołnierza pani Thatcher złożyła wieniec w tradycyjnych brytyjskich barwach, z czerwonych gerber, białych goździków i niebieskich gladioli. W Gdańsku, w towarzystwie ośmiu dziennikarzy z tzw. poolu A (fotoreporterzy największych światowych agencji, towarzyszący oficjalnym gościom wszędzie), przyplłynęła kutrem do Zielonej Bramy. Pobyt nad morzem stanowił dla Margaret Thatcher widoczny powód do satysfakcji. Jakby ujawnił się nagle brytyjski temperament eksploratorów i żeglarzy.

— Mam wielki szacunek dla polskiej przeszłości, dla kulturowego i cywilizacyjnego dorobku Polaków — powiedział w jednym z wywiadów przed przylotem do Warszawy.

Wyrazem tego przekonania była jej wizyta na Zamku Królewskim.

Agendę pobytu brytyjskiej pani premier wypełniły jednak przede wszystkim rozmowy polityczne i gospodarcze. Nie ukrywano przed wizytą, iż chodzi nam o poważne zintensyfikowanie wzajemnej wymiany handlowej. Wielka Brytania pod względem obrotów z Polską zajmuje piąte miejsce po ZSRR, RFN, Czechosłowacji i NRD, natomiast pod względem odbioru polskiego eksportu jest na czwartym miejscu. Polska jest wśród krajów socjalistycznych największym po ZSRR partnerem handlowym Wielkiej Brytanii. Mimo dość ożywionej współpracy istnieją w tym względzie ogromne, niewykorzystane możliwości, zwłaszcza jeśli chodzi o sferę tzw. high technology products. Dla rozmów gospodarczych nie bez znaczenia pozostawał także fakt, iż Wielka Brytania jest piątym co do wielkości zobowiązań wierzycielem Polski z tytułu zaciągniętych kredytów. Polska strona podkreślała przy tym z całą stanowczością, iż chodzi nam wyłącznie o traktowanie nas jako pełnoprawnych partnerów, o zapewnienie „normalności” we wzajemnych stosunkach gospodarczych. Rząd pani Thatcher był prze-

angielszczyzną o samopoczucie pani premier, jej pierwsze wrażenia. Potem, już przy stole rozmów, udzielono reporterom zwyczajowych trzech minut, nim zamknęły się drzwi i rozpoczęły negocjacje. Byłem jedynym obok wysłannika „Timesa” dziennikarzem piszącym, który miał szansę podpatrzenia całego tego ceremoniału.

General Jaruzelski jeszcze przed spotkaniem z panią Thatcher powiedział brytyjskim dziennikarzom, że polscy przywódcy przykładają dużą wagę do tej wizyty i widzą ją jako odbiegającą znacznie od wymogów prostego protokołu. Przewodniczący Rady Państwa stwierdził, że uważa panią Thatcher za „wybitnego polityka i męża stanu posiadającego ciekawe doświadczenia w rozwoju i konsolidacji brytyjskiej gospodarki, a także prestiżu Zjednoczonego Królestwa. „Okażemy pani Thatcher należny jej szacunek i sympatię” — dodał. Rozmowy miały charakter konstruktywny, ale najlepiej charakteryzują je toasty wygłoszone przez oboje przywódców na uroczystym obiedzie w pałacu Rady Ministrów. Za najbardziej symptomatyczne ich fragmenty, obok wielu myśli zbieżnych, uznalibyśmy te:

MARGARET THATCHER — W Wielkiej Brytanii mamy obecnie jedną z najszybciej rozwijających się i najbardziej skutecznych gospodarek w Europie, ponieważ byliśmy gotowi stawie czoła trudnym wyborom i podjąć trudne decyzje. Powiedzieliście mi, Panowie, dziś o swoich planach dotyczących reformy gospodarki; że chcecie usunąć ograniczenia, które hamują indywidualną i zbiorową inicjatywę, zaferować większe możliwości i ograniczyć wpływ biurokracji. To są dobre wiadomości. Ale jedna z lekcji o świecie po 1945 roku pokazuje, że większe ożywienie gospodarki występuje w tych narodach, które mają większe swobody — w Stanach Zjednoczonych, w Europie Zachodniej i obecnie w Japonii. Doświadczenie nauczyło nas, że można osiągnąć większy wzrost tylko wyzwalając przedsiębiorczość, tylko motywując ludzi do większego wysiłku, tylko osiągając ich zaangażowanie pełnym sercem w sprawy reform wówczas, kiedy ludzie mają godność i radość z osobistej i politycznej swobody. Kiedy mają wolność słowa, wolność zrzeszania się, prawo zakładania wolnych i niezależnych związków zawodowych, realizację wszystkich innych postanowień Aktu Końcowego KBWE w Helsinkach.

WOJCIECH JARUZELSKI — Złożonych, historycznie ukształtowanych różnic ustrojowych i ekonomicznych we współczesnym świecie nie da się zrozumieć na podstawie przestarzałych stereotypów. Pluralizm form ustrojowych, współistnienie monarchii i republik, odrzucenie uniformizmu w polityce wewnętrznej — to nieodłączne cechy europejskiej cywilizacji. Poznanowanie tej różnorodności, zaniechanie politycznego misjonarstwa, przestrzeganie zasady nieingerencji i suwerennej równości państw — to nie naruszalny fundament konstruktywnego, pokojowego współżycia narodów na naszym kontynencie.

Znane jest nam Pani osobiste zainteresowanie problematyką praw człowieka. Podzielamy poglądy, iż stanowią one uniwersalną humanistyczną wartość, integralną część europejskiej kultury politycznej. Nie mał każdy kraj ma w tej sferze powody do dumy — ale i różne bolesne, a nawet wstydlive karty. Polska, historycznie i współcześnie rzecz biorąc, nie ma w tej

rze zaczynają się powtarzać. I kto wie, czy nie ma racji”.

Chętnych do udziału w konferencji było wielu — zbyt wielu, by mogła ich ponieść szczupła salka „Interpressu”. (Samych reporterów krajowych akredytowało się przy wizycie ponad stu). Dyrektor Grzełek musiał więc dokonać selekcji. Liczyła się ranga tytułu, jego pozycja na polskiej scenie publicystycznej. W efekcie wśród wyróżnionych znalazły się jedynie rekiny krajowych mass-medium. Pozostali dziennikarze mogli obserwować przebieg konferencji na monitorach. Czas odmierzałem dokładnie. Wszystko odbyło się tak, jak przepowiadał angielski kolega. Zgodnie także z oczekiwaniami, konferencja była rzeczowa, odpowiedzi zdecydowane i jednoznaczne. To właśnie podczas obcowania pani Thatcher z dziennikarzami widać jej ogromne polityczne obycie, a także skutki specjalnej praktyki, zasugerowanej jej przez jednego z doradców od reklamy, by, po wcześniejszym okresie agresywnej konferencji na monitorach, stawała swój głos, postarała się kreować swój image, jako osoby opanowanej, pełnej koniecznej rezerwy, bardzo kompetentnej. Pani premier nie korzysta z pośrednictwa osób trzecich, sama kieruje spotkaniem z prasą, sama wyznacza osobę uprawnioną do zadania pytań, sama, jak już wspominałem, reguluje czas jej trwania.

Późnym wieczorem uniósł się w powietrze samolot specjalny RAF, biorąc kurs na Londyn. Nie podpisano żadnych porozumień dotyczących współpracy gospodarczej czy finansowej, znany warunków spłaty polskiego zadłużenia czy przyznania nowych kredytów. Zapropionowano jedynie wymianę specjalistów od zarządzania i podzielenie się z polskimi menadżerami brytyjskimi doświadczeniami. A jednak ta wizyta w dużym stopniu spełniła oczekiwania, nadając pewne impulsy, które muszą zapoczątkować w przyszłości. Kilkakrotnie usłyszeliśmy deklarację, że po pomyślnym zakończeniu polskich negocjacji z Międzynarodowym Funduszem Walutowym aktywność brytyjska na polskim rynku odczuwalnie wzrośnie. Pani Thatcher zapowiedziała także uproszczenie procedury wizowej dla Polaków chętnych do odwiedzenia Wysp Brytyjskich oraz ułatwienia w dwustronnym ruchu turystycznym. Zadeklarowała także ponowne, rychłe rozpatrzenie sprawy sprowadzenia do Polski prochów generała Władysława Sikorskiego, zgodnie z pragnieniem przeważającej części polskiego społeczeństwa. Chodzi więc o to, by werbalne dotąd treści wypełnić konkretnie.

Odlatując z Warszawy, pani Thatcher powiedziała: „Chciałabym przekazać Waszemu narodowi, że Polska ma w mojej osobie wielkiego przyjaciela”.

Mamy nadzieję, że tym razem nie zakończy się na deklaracjach.

Festiwal Bułhakowa

Wioletta Gudkova

brak mi Mamo
ciszy snu twojego
zbitej szklanki w pośpiechu
porannym
spóźnionego obiadu
azyłu domu usypiającego

Pozostaniesz Mamo
mimo że szczęścia uciekać będą
owoce uschną w winnicy marzeń
przemina żale
odejdą przyjaciele
Ty pozostaniesz
aby dobro nie uwiędło

mówiłam
nie mam nic do ukrycia
dzisiaj wiem
jak wygląda samotność

LOS Michaiła Bułhakowa — dramaturga jest i gorzki i jednocześnie, z perspektywy dziesięcioleci, które minęły od śmierci autora, radosny.

Po trzech głośniejszych sezonach — 1926—28, kiedy nazwisko Bułhakowa nie schodziło z lamów radzieckiej prasy w związku z trzema spektaklami wystawionymi jeden po drugim — „Dniami Turbinów” w Moskiewskim Teatrze Artystycznym, „Mieszkaniami Zojki” w teatrze studyjnym im. Wachtangowa i „Szkarłatną wyspą” w Teatrze Kameralnym u Aleksandra Tairowa — nastąpił długi okres milczenia.

Do połowy lat pięćdziesiątych radziecki widz znał Bułhakowa tylko jako autora jednej sztuki — „Dni Turbinów”. Oczywiście, było to o wiele za mało dla pisarza, który stworzył powieść „Mistrz i Małgorzata”. Jednak spektakl MChAT-u, zapoznający widzów z twórczością Bułhakowa, był nie tylko udaną inscenizacją, ale wręcz manifestem artystycznym twórcy, kamieniem milowym w rozwoju życia teatralnego. Godne uwagi są słowa wybitnego reżysera Georgija Towstonogowa: „Ruch dramaturgii nierzadko wyznaczała sztuka idąca w jednym teatrze. — Na przykład? »Dni Turbinów«!”.

Później każde dziesięciolecie wybierało swoją „ulubioną”, najważniejszą sztukę Bułhakowa. I tak, w latach pięćdziesiątych teatry znów sięgnęły po „Dni Turbinów”. W sześćdziesiątych nastąpiło odkrycie „Ucieczki”. W latach siedemdziesiątych najpopularniejszym dramatem Bułhakowa stała się „Kabała świętoszków” — sztuka o niełatwym losie artysty. I wreszcie, w latach osiemdziesiątych utwory Bułhakowa rozpoczynają nowy etap życia na radzieckich scenach: następuje renesans jego prozy, powstają inscenizacje już „na motywach” Bułhakowa.

Pierwszym spektaklem według prozy Bułhakowa był „Mistrz i Małgorzata” w Moskiewskim Teatrze Dramatu i Komedii na Tagance, który dziś znów wrócił do repertuaru i tak jak dawniej cieszy się uznaniem widzów.

Wybór spektakli Bułhakowa w repertuarze moskiewskich teatrów jest obecnie bogaty, jak nigdy. Pod koniec ubiegłego sezonu największym powodzeniem cieszył się spektakl Henrietty Janowskiej w Teatrze Młodego Widza „Psie serce”, którego premiera odbyła się wiecz-

rem tego samego dnia, w którym wyszedł numer miesięcznika literackiego „Znamia” z tym opowiadaniem Bułhakowa. Oklaski, jakie zabrzmiały na widowni, były adresowane nie tylko do reżysera i aktorów, ale i do autora, którego utwór powrócił po latach do czytelników i widzów.

Henrietta Janowska proponuje jak gdyby „podwójny”, złożony spektakl: mamy przed sobą i „teatr operowy”, w którym grają „Aidę”, ze złożonymi kolumnami pokrytymi „pismem egipskim”, i mieszkanie profesora Prieobrażńskiego, gdzie wszystko jest zrównoważone, stałe, „stare” — masywny stół jadalny, ciężki, rzeźbiony bufet z lustrzanymi krawędziami, w których odbijają się płomyce świec. Ale oto na podłodze zadbanego pokoju leży nie lśniący parkiet, ale czarna, szeleszcząca masa — ni to ślady smutnych zgliszcz, ni to „czarny śnieg”, który pada na ulice zimowej Moskwy roku dwudziestego, ni to jeszcze ostrzejszy obraz tamtych czasów upadku...

Czarna szeleszcząca masa w spektaklu — to znak, że również w przytulnym mieszkaniu Prieobrażńskiego nie można znaleźć ucieczki przed tym, co dzieje się wokół. Przypomina o tym i czarna grubaśna rura ogrzewania gazowego niezręcznie sterująca bezpośrednio w jadalni profesora. Przestrzenie „ulicy” i „domu”, czyli świata już przeniknęły jedna w drugą. Wkrótce w domu pojawi się Szarikow, człowiek z „psim sercem”, i życie w mieszkaniu stanie się nie do zniesienia.

Wąły, inteligentny profesor i niezręczny, błyskający złotymi okularami i epatujący idealną wymową nieniecka asystent Bormental nie chcą zaakceptować sposobu życia, jaki próbuje im narzucić Szarikow i w odpowiedzi na podniesiony rewolwer Szarikowa dokonają zabójstwa „laboratoryjnej istoty”, której zostanie przywrócony naturalny wygląd. W finale przedstawienia pies zasypia u stóp wstrząsniętego tym, co się stało profesora...

Mimo wszystko wydaje mi się, że najbardziej „bułhakowskim” ze wszystkich aktualnych spektakli jest „Mieszkanie Zojki”, wystawione przez młodego utalentowanego reżysera Garija Czerniachowskiego z udziałem studentów szkoły teatralnej im. Szukina przy teatrze wachtangowskim. Ale to już osobna historia.

Okolice sztuki

Surowa lekcja z RFN

JESLI wielkość inteligencji ludzkiej zmierzyć można trafnością wyboru adresu, pod który stuka się, by otrzymać rzecz pożądaną, to młodzi artyści polscy są bardzo inteligentni.

Czyż bowiem nie jest bystry ten, kto mocno kolacze do drzwi RFN? Tak właśnie, jak to od dłuższego już czasu robią nasi malarze z kręgu „nowej ekspresji”, nie przypadkowo nazywani też terminem „nowi dzicy”, przekalkowanym z niemieckiego „Neue Wilde”.

Do RFN stukać warto, albowiem w tym kraju sztuka znalazła wyjątkowo dogodne warunki rozwoju: przychylność liberalnego w większości społeczeństwa, możnych sponsorów i powszechne pragnienie dowartościowania się poprzez coś bardziej subtelnego, niż najbardziej nawet efektowne modele mercedesa czy operacje brygad antyterrorystycznych.

Przy suto zastawionym stole, oblepionym przez dobrze już odżywionych biesiadników, zawsze znajdzie się miejsca dla artysty i blazna.

Zresztą, tak było zawsze. Historia sztuki powszechnej wpisana jest w dzieje krajów bogatych. Jeśli nawet biednym też uda się coś ciekawego i cennego, nie mają siły, by w odpowiednim czasie ogłosić i przekazać to światu.

Do RFN ciągną więc artyści z różnych krajów, lecz Polacy — szczególnie ochoczo i licznie. Tam można zarobić i podpatrzeć, jaki „towar” idzie właśnie najlepiej.

Ale kto się na to zżyma w ogóle, ten pochodzi pewnikiem ze wsi kniazia Potiomkina.

Nie jest bowiem naganne, że ktoś zarabia, jak i można dostrzec sens głębszy w pilnym śledzeniu tego, co inni robią.

Ważne jest, jak się zarabia, co i po co się podpatruje.

Polscy „dzicy” przejęli z zachodniemieckich formacji „Neue Wilde” tylko wrzask, furję, nonszalancję, szyderstwo, ewentualnie kubaturę i specjalny profil fallusów, które zresztą szczególnie dobrze wychodzą rodakom. Jedynie dwóch, może trzech nadwiślańskich „dzikich” pojęło, że tamta sztuka stanowi też próbę rekonstrukcji archetypów wizualnej kultury symbolicznej, a ponadto rewiduje, lub rewindykuje dawne czy nawet całkiem świeże mity etniczne, narodowe, społeczne (Penck, Immendorf), czasami takie, które budzą uzasadniony niepokój nad Wisłą.

Młode malarstwo polskie zdziaczało do tego stopnia, że „dzikie kawałki” walą już powszechnie studenci uczelni plastycznych. Tymczasem nie ulega kwestii, że cały ten ruch, że cała ta poety-

ka skostniała w pozie muzealnej, grzecznie ułożyła się w trumienne z napisem „konwencja”.

Myślę, że pokolenie wstępujące obecnie w publiczne pole sztuki stanie jednak przed leninowskim pytaniem: — Co robić?

Nim się przecież młodzież zabierze do odpowiedzi, gotując swoje mózgi w intelektualnej zupie z wkładką, może dobrze byłoby, gdyby znów spojrzęła w stronę... RFN!

Jest okazja, jako że od 19 października do 2 grudnia w warszawskiej galerii „Studio” (telefon do szefa, Z. Taraniuki: 200-211, w. 2991) czynna jest wystawa „Młoda sztuka z Republiki Federalnej Niemiec”. Można tam zobaczyć obrazy, rysunki, rzeźby, instalacje i video szesnastu artystów, zrealizowane w minionych dziesięciu latach. Żeby uniknąć nieporozumień zaznaczam, że pod pojęciem „młoda sztuka” Niemcy rozumieją „młodą sztukę”, a nie „młodych artystów”, zatem zdają

się podchodzić do kwestii pokolenionej całkiem inaczej od kolegi Rudomino, który wedle mody z lat sześćdziesiątych absolutyzuje walkę generacji artystycznych, wywyższając oczywiście juniorów pod niebiosami, gdzie ani chybi czeka na nich nagroda złotego rogu. Otóż na wystawie, owszem, znajdziemy twórców młodych, ale i takiego, który urodził się prawie 50 lat temu, w roku wybuchu II światowej. Ale ja też Kocham młodzież, naprawdę i z urzędu, i dlatego polecam jej ekspozycję młodej sztuki z RFN. Dlaczego?

Bo jest to sztuka poważna, surowa, niejednokrotnie przywołująca kwestie egzystencjalne i społeczno-polityczne, czego przykładem seria malarstwa „Nelson Mandela”, autorstwa Petera Mella, który przyszedł na ten świat bólu i rozpacz w 1939 roku, a ponadto „Druki do antyszuki” Gustava Klugego (ur. 1947), wśród nich malarstwo „Pan Stalin z atrapą katedry kolońskiej”.

Bo jest to sztuka wyzbyta efekciarstwa i wrzaskliwości. Nawet znanego ze swej „nonszalancji formalnej” Waltera Dahna, ucznia Beuysa, przedstawiono, chyba celowo, jako opanowanego twórcę symbolicznych graffiti w akrylu. Z kolei ekspresjonistyczny Rainer Fetting (ur. 1949) prawie skutecznie przekonuje nas, że jego „Autoportret” faktycznie ujawnia coś z osobowości malarza.

Bo komisarz wystawy, Ulrich Krempel, tak dobrał artystów i ich dzieła, jakby chciał udowodnić Polakom, że sztuka zachodniemiecka minionych lat dziesięciu była wielce różnorodna, a „Neue Wilde” w sferze autentycznych wartości zajmowali miejsce jedne z możliwych: skromne. Co innego bowiem moda, co innego — nieklamana wartość.

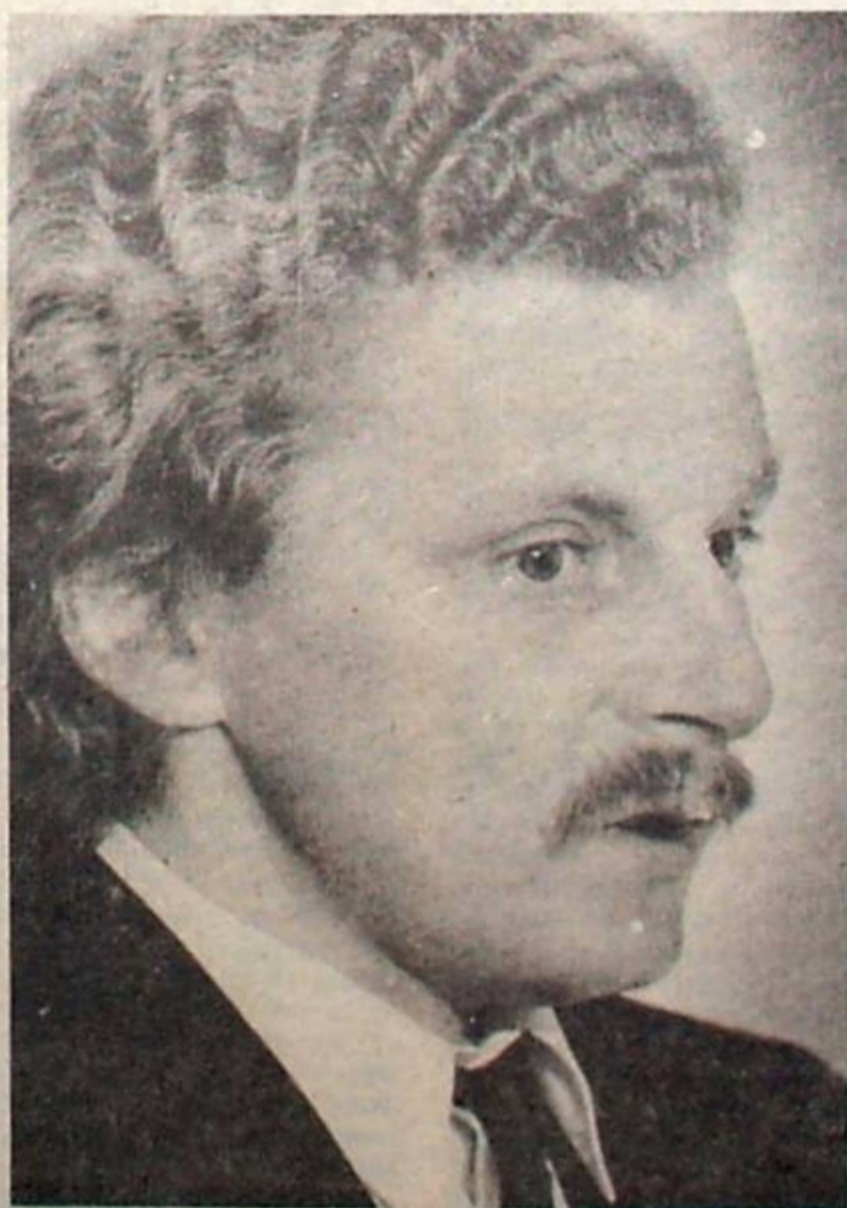
No i dlatego polecam wystawę naszej młodzieży artystycznej, rozumiejącej jeszcze sens słowa pisanego, ponieważ w katalogu wydrukowanym w RFN znajdzie ona takie wyznanie Ludgera Gerdesa (ur. 1954), świetnego malarza i twórcy różnych „obiektów”:

„Do rzeczy. Sądzę, że sztuka ma przede wszystkim służyć kształtowaniu i inscenizacji przestrzeni życiowej człowieka. Interesuje mnie osobliście rola, którą sztuka może odgrywać w życiu społecznym, ponadto interesują mnie modele własnie tej sztuki, która dotyczy zagadnień społecznych, pełni funkcje środka komunikacji społecznej i mówi językiem »zrozumiałym«.

Sztuka powinna być ofertą krytyczną i konstruktywną. Nie powinna zakrawać na zarozumiałą i utopijną awangardę, lecz sugerować realistyczne i konstruktywne propozycje polepszenia świata, propozycje dające się sprawdzić i zastosować...”

Byłoby chyba pożyteczne, gdyby tej surowej lekcji z RFN uważnie zechcieli wysłuchać nasi juniorzy sztuki, karmieni dotąd inteligencją swoich starszych kolegów-gastarbeiterów.

IJK



Ulrich Krempel, komisarz wystawy „Młoda sztuka z Republiki Federalnej Niemiec”.

Fot. Andrzej Zórawski

Rzecz polska scrantońska

Waldemar Piasecki

WJEZDZAJĄC do Scrantona od strony Nowego Jorku pierwsze, co rzuci się w oczy, to zabudowania Scranton University na pokaźnym, zadrzewionym wzniesieniu oraz budynek dawnego dworca kolejowego przebudowanego na... hotel „Hilton”. No dobrze, ale gdzie jest Pittston Avenue? Przygodnie zatrzymany taksówkarz nie ma takich rozterek. „Złe jedziecie. Trzeba się cofnąć i skręcić w lewo, a nie w prawo”. — tłumaczy. Potem sam pyta, czy szukamy inoże „Polish National Union”, a po potwierdzeniu stwierdza, iż on sam jest Joe Dudek. Jest za młody, żeby pamiętać biskupa Hodurę, ale jego rodzice — oczywiście. Dudek po polsku nie mówi nie licząc poezjalnego „do wiłicenia”.

Za chwilę jest także „dzień dobry”. Tak wita nas Wanda Cytowska, redaktor naczelny tygodnika „Straż”, najdłużej (i nieprzerwanie) ukazującego się polskojęzycznego pisma w USA. Od 16 kwietnia 1897 roku „Straż” jest wymownym dowodem trwania Polaków w tej części Pensylwanii, w tej swoistej Rzeczy Polskiej Scrantońskiej, której nazwę chyba i w tytule powinienem napisać wielkimi literami...

Nasza przewodniczka zaprasza do swego mieszkania, które pełni także rolę jej gabinetu redakcyjnego. W pokoju stołowym jest także ogromne biurko, na którym obok maszyny do pisania piętrzą się słowniki, materiały agencyjne, najnowsze wydania „Newsweeka” i „Time”, „Polityki” i „Przeglądu Tygodniowego”, jakieś zdjęcia, wycinki. No i naturalnie ostatnie numery „Straży”. Niestety, przynoszą one niewesołe wieści. Zmarł przywódca Kongresu Polonii Amerykańskiej, mecenas Alojzy Mazewski, i informacje o uroczystościach pogrzebowych dominują już od pierwszej strony. Co prawda Mazewski nie był entuzjastą Polskiej Unii Narodowej i narodowego katolicyzmu, ale był wybitnym Polakiem. To trzeba uszanować. Dziś organ Polskiej Unii Narodowej ukazuje się w nakładzie ośmiotysięcznym. Daleko do najlepszych czasów, kiedy z maszyny rotacyjnej schodziło nawet do 60 tysięcy egzemplarzy... Od kilku lat gazeta drukowana jest po angielsku i to jest inny znak czasu, tudzież realiów. Została tylko polska winieta i hasło programowo-informacyjne: „Pismo bez-

partyjne poświęcone sprawom ogólnopolskim, narodowym, kulturalnym i społecznym”.

Nie można zrozumieć Scranton i tutaj Polaków nie znając drogi księdza Hodurę. Przez jednego uznanego za bohatera, przez wielu jednak za odszczępionca i heretyka. Według mnie — postaci hercycznej w niesieniu ciężaru odpowiedzialności za swoje decyzje, czyni i wielkie zaufanie, jakim go obdarzono. Z pewnym zażenowaniem wypada stwierdzić, iż wiedza o tej postaci jest u nas niemal żadna.



Biskup Franciszek Hodur

Nim Franciszek Hodur wszedł na statek zmierzający do Ameryki, spędził w Plesce pod austriackim zaborem dwadzieścia cztery lata. Właściwie były to dwa miasta: Chrzanów i Kraków. W pierwszym uczył się do szkoły powszechnej, w drugim — do słynnej szkoły Nowodworskiego (Gimnazjum Sw. Anny), a potem do Wyższego Seminarium Duchownego i na teologię w Uniwersytecie Jagiellońskim. Urodził się w podkrakowskich Żarkach w rodzinie krawca, dorabiającego upraw-

roli. Rodzice dostrzegli, iż Franek ma ciąg do nauki i konsekwentnie stali go do szkół, mimo że rodzina była liczna (prócz niego miała jeszcze sześcioro dzieci). Po maturze młodzieniec zdany był tylko na siebie. Wpłynęło to na szybkie usamodzielnienie, jak i krytyczną postawę wobec poglądów społecznych. Zajął się z księdzem Stanisławem Stojalowskim, społecznikiem-ludowcem, którego aktywność w pewnym czasie przestała być akceptowaną przez hierarchię kościelną, a Stojalowskiemu przysporzyła wielu kłopotów. Kleryk Hodur również zaczął odczuwać skutki „pochopnej” przyjaźni. Na przedostatnim roku studiów teologicznych odmówiono mu wyższych święceń, na co młody i ambitny Hodur zareagował... opuszczeniem Seminarium; automatycznie oznaczało to przerwanie studiów w UJ. Zbiegło się to również z „kłatwą”, jaką nałożono na Stojalowskiego... Tę więc w 1890 roku Franciszek Hodur przybył do USA.

Naturalnym ruchem polskich duchownych przybywających do Ameryki było skierowanie kroków do dużych ośrodków polonijnych. Jednym z nich było Scranton z zagłębieniem antracytowym, uchodzącym wówczas za jedno z największych w świecie. Od końca XIX wieku Polacy napływali tu masowo, tworząc liczne kolonie. Był to przede wszystkim żywioł biedoty chłopskiej z terenów Galicji, a więc dobrze znanych Hodurowi. Po przybyciu do Pensylwanii młody kleryk trafił do parafii św. Trójcy w Nanticoke, gdzie proboszczem był ksiądz Gramlewicz. Ten po ojcowsku zajął się Franciszkiem. Przede wszystkim postanowił uregulować kwestię jego kapłaństwa. Zarekomendował Hodurę do ordynariusza diecezji scrantońskiej, biskupa O'Hary, a ten posłał młodego krakowianina do Seminarium Duchownego w Betty. Tam odbywał nauki i oczekiwał na opinię rektora seminarium krakowskiego. Nadeszła w 1893 roku i była... pozytywna. W sierpniu tegoż roku, po otrzymaniu wyższych święceń, Franciszek Hodur mógł podjąć służbę duszpasterską. Został skierowany, jako wikariusz, do parafii Serca Jezusowego w Scranton, pod rządy proboszcza Richarda Austa, śląskiego Niemca o zdecydowanie nacjonalistycznym zacięciu oraz jednoznacznym uprzedzeniu do Polaków. Utrzymywanie go, jako

proboszcza parafii, gdzie Polacy posiadali ogromną przewagę liczebną, wywoływało jeszcze przed przybyciem Hodurę wiele napięć.

Wikariusz szybko zyskał sobie uznanie wiernych. Improwował erudycją, talentem oratorskim i wielką przedsiębiorczością. Organizował w parafii liczne imprezy kulturalno-oświatowe integrujące polską społeczność, a także w praktyce przejął kierowanie parafią, bowiem ks. Aust zainteresowany był głównie prowadzeniem życia towarzyskiego, którego rozrzutność była powszechnie w Scranton znana i nie wzbudzała zachwytów parafian. Widzieli bowiem, że proboszcz bawi się za ich pieniądze. Objawy niezadowolenia kanalizował jednak wikariusz. Stawało się to jednak coraz trudniejsze, bo Aust ostentacyjnie obnosił się ze swoją pogardą dla Polaków. Wydawało się, że konflikt jest nieunikniony i wówczas... ks. Hodur otrzymał stanowisko proboszcza w Nanticoke. Był rok 1895. Październik.

O ile Hodur dość szybko zdobywał sobie zwolenników w nowej parafii, o tyle Aust systematycznie gromadził wokół siebie wrogów. W lipcu 1896 roku parafianie wyłonili Komitet Parafialny, który zażądał od Niemca złożenia sprawozdania finansowego za okres trzech lat probosztwa. Ten naturalnie arogancko odmówił, po czym z ambony obrzucił Polaków wyzwiskami. Kolejna próba kontroli kasy parafialnej zakończyła się wezwaniem policji i zatrzymaniem 21 osób. Interwencja u biskupa O'Hary nie dała żadnego rezultatu. W takiej sytuacji w drugą niedzielę września 1896 roku siedmiusetosobowy tłum parafian nie wpuścił ks. Austa do kościoła i odesłał go na plebanie. Proboszcz telefonicznie porozumiał się z biskupem, po czym wezwał policję. Ta pałkami rozpedziła wiernych raniąc kilka osób, a dziewięć aresztując.

Scrantońscy górnicy i hutnicy postanowili szukać oparcia u Franciszka Hodurę. Do Nanticoke przybyła delegacja z pytaniami, co mają robić. Ten poradził im podjąć budowę nowego kościoła. Propozycja spotkała się z akceptacją. Wykupiono parcelę, powołano komitet budowy i przystąpiono do pracy. Już w styczniu 1897 roku postawiono fundamenty pod kościół św. Stanisława, Biskupa i Męczennika. Sposobiono się do wmurowania kamienia węgielnego. Do biskupa O'Hary udała się delegacja z prośbą o poświęcenie kamienia i wyznaczenie polskiego duszpasterza nowo wznoszonego kościoła. Irlandzki biskup zareagował arogancko. Nakazał natychmiastowe notarialne zapisanie świątyni na jego nazwisko. Było to zgodne z ówczesną praktyką w USA, lecz stawiało wiernych w bardzo niekorzystnej sytuacji. Świątynia prze-

Życie ze skalpelem

Dokończenie ze str. 3

człowieka w ciało innego człowieka było kiedyś traktowane jako obustronne przestępstwo, a i dziś obowiązujące przepisy tylko ogólnikowo reguluje ów problem. Jakby spojrzeć na sprawę, transplantacji narządów ciągle towarzyszą wątpliwości natury moralnej, choć prawdą jest, że obserwujemy rosnące zrozumienie dla idei i praktyki przeszczepów, do czego przyczyniły się m.in. akceptujące wypowiedzi Jana Pawła I i Jana Pawła II — owszem, powściągliwe, lecz jednoznaczne w istocie.

— Powiedzmy, że po odpowiednich badaniach wytypowaliśmy nerkę zmarłego właśnie człowieka do przeszczepu — czy musicie uzyskać zgodę rodziny takiego dawcy na dokonanie zabiegu?

— W Polsce lekarze nie mają prawnie zawarowanego obowiązku informowania rodzin zmarłych o zamiarze pobrania nerki, ale w rzeczywistości ludzie ci orientują się w sprawie. I na ogół reagują po ludzku. Córka starszej kobiety, śmiertelnie potrąconej przez samochód, oświadcza ze łzami w oczach, że wykorzystanie nerki jej matki dla ratowania życia innego czło-

wieka będzie jedyną możliwą postacią złagodzenia tej tragedii. Podobnie reaguje ojciec studenta, który zmarł nagle, w przypadkowych okolicznościach... A nie są to zachowania odosobnione, o nie!

— Czy jednak ogół społeczeństwa, choćby jego część poważniejsza, reprezentuje taką postawę? Polacy stadami ciągną do przeróżnych znachorów, uzdrowicieli, wróżbitów, chiromantów, manifestując jakby irracjonalny stosunek do świata.

— W tym problemie, że działania pobudzające w świadomości ogółu zrozumienie dla pobierania narządów są u nas ciągle bardzo ograniczone. Ba, nawet lekarze, przede wszystkim w terenie, nie kwapią się do zgłaszania faktów śmierci osobniczej ośrodkom wyspecjalizowanym w transplantacji. Zupełnie inaczej rzecz wygląda w krajach o wysokim rozwoju cywilizacji, w których świat lekarski i większość obywateli akceptuje przeszczepy. W dokumentach osobistych kierowców angielskich z reguły znajduje się pisemna zgoda na pobranie narządów po ewentualnej śmierci w wypadku drogowym etc.

— Jak te kwestie reguluje prawo? — Kiedyś obowiązywało zarządzenie, że nerkę można pobrać dopiero w 12 godzin po śmierci człowieka, następnie zredukowano ten okres do ośmiu godzin, ale oba terminy odbiera-

ły wszelki sens operacji. Obecnie można to zrobić natychmiast po zgonie, który nastąpił na przykład w rezultacie wypadku. Do wykonania zabiegu, trudniejszego zresztą od wszczepiania narządu, potrzebna jest oczywiście zgoda prokuratury, która przede wszystkim kieruje się orzeczeniem komisji, stwierdzającej, po badaniach, fakt śmierci mózgowej. W skład takiej komisji wchodzi lekarze, którzy nie uczestniczą w pobieraniu nerki. W Lublinie uprawnienia do uzyskania zgody prokuratury posiadam ja oraz dr Seweryn Stettner.

— Przypomnijmy, że jest pan, od roku 1973, dyrektorem Instytutu Chirurgii AM, bezpośrednio po profesorze Onyszkiewicz, równolegle kierując I Kliniką Chirurgii Ogólnej... Proszę zarysować harmonogram postępowania: od wypadku, w którym ginie człowiek, do momentu zakończenia operacji wszczepienia nerki przez zespół lubelski. Powiedzmy, że wypadek nastąpił o godzinie trzeciej po południu.

— Ofiara wypadku umiera o północy, wkrótce potem zbiera się wspomniana komisja, która o trzeciej nad ranem stwierdza śmierć mózgową. Otrzymujemy zgodę prokuratury, pobieramy nerkę, którą natychmiast przewozi się karetką do Warszawy, gdzie rozpoczyna się tak zwane typowanie tkankowe, wymagające niebywalej precyzji i doskonale wyposażonej pracowni immunologicznej, jakiej zresztą nie posiadamy w Lublinie, co uniemożliwia szybszy rozwój naszego ośrodka transplantacji. Rzecz w tym, że powodzenie przeszczepu zależy od o-

kreślonej relacji immunologicznej między dawcą a biorcą. Typowanie skończono, wśród pacjentów z regionu lubelskiego ustalamy chorego, który odpowiada warunkom pomysłowego przeszczepu. Tenże przewieziony zostaje karetką do kliniki warszawskiej, gdzie przechodzi dializę. Na drugi dzień po wypadku, około godziny dziesiątej wieczorem, wyjeżdża do stolicy zespół lekarzy i instrumentariuszek, który po przybyciu na miejsce staje przy stole operacyjnym; przeszczepienie nerki trwa średnio półtorej godziny. O szóstej rano wsiadamy do karetki i wracamy do Lublina.

— Na zastulony odpocznym.

— Nie, „na salę” operacyjną.

— Kiedy rozpoczął pan operować?

— Może inaczej: pierwszą samodzielnie salę chirurgiczną poprowadziłem po doktoracie w 1962 roku. Nie wiele później ukończyłem niezwykle pożyteczny kurs torakochirurgii w Zakopanem — powiem nieskromnie, że z I lokatą — i od tego czasu kompletnie wsiąknę w chirurgię. W klinice prof. Onyszkiewicza wykonywałem już wszystkie operacje i zabiegi w jamie brzusznej i klatce piersiowej, zajmowałem się różnymi schorzeniami, łącząc je z nowotworami. Tymczasem jednak los (los?) znów uśmiechnął się do mnie złośliwie. Kiedy bowiem otrzymałem etat adiunkta, wymówiono mi dodatkową pracę w onkologii, choć zdążyłem już wyszkolić kilku młodych onkologów, a w pierwszym okresie istnienia Wojewódzkiego Szpitala Onkologicznego prowadziłem w

STRAZ

WYDAWCA: P. J. HODURA, 1001 S. 10TH ST., SCRANTON, PA. 18503

Strona 1 - 10

1001

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10
1	2	3	4	5	6	7	8	9	10
1	2	3	4	5	6	7	8	9	10
1	2	3	4	5	6	7	8	9	10
1	2	3	4	5	6	7	8	9	10
1	2	3	4	5	6	7	8	9	10
1	2	3	4	5	6	7	8	9	10
1	2	3	4	5	6	7	8	9	10
1	2	3	4	5	6	7	8	9	10
1	2	3	4	5	6	7	8	9	10

Prze-
KRZYWE
Biskupów i księży

Strona tytułowa pierwszego numeru „Straży”

stawała być ich własnością, a stawała się prywatnym dobrem biskupa, który mógł dysponować nim wedle woli. Mając żywo w pamięci przejścia z innym cudzoziemskim księdzem (Austrem) Polacy powstrzymali się od wizyty u reagenta, natomiast udali się ponownie do Nanticoke. Do Franciszka Hodura. Podobne konflikty narodowościowe w łonie Kościoła rzymskokatolickiego w Ameryce powtarzały się także w innych miejscach. Tym faktem sprzyjało zdominowanie hierarchii przez biskupów irlandzkiego i niemieckiego pochodzenia, którzy do przejawów aspiracji narodowych innych grup odnosili się niechętnie, lub wręcz wrogo. Zdarzały się przypadki rugowania polskiej mowy nie tylko w świątyniach, ale także szkołach parafialnych.

14 marca 1897 roku, po odprawieniu sumy w kościele w Nanticoke, ks. Hodur zakomunikował wiernym, iż z żalem ich żegna, bowiem jego wierni ze Scranton są w wielkiej potrzebie, a on pragnie im dopomóc. 21 marca pojawił się na budowie kościoła św. Stanisława i w jego podziemiach odprawił mszę, po której ogłosił niezależność parafii. W tym znaczeniu, że wierni nie odchodzą od Kościoła i Rzymu, ale wyraźnie artykułują swoją podmiotowość, przede wszystkim zaś prawo do duszpasterstwa przedstawicieli tego samego narodu i wpływania na losy parafii utrzymywanej własną krwawicą. Swoją mowę zakończył zmiennym: „Stanie się, co Bóg postanowił”.

Wobec tej „schizmy” w stolicy diecezji nie pozostały obojętne jej władze. Przeciwno Hodurowi i jego parafii rozpoczęta została gwałtowna nagonka prowadzona również w lokalnej prasie. Broniąc się przed nią, Franciszek Hodur postanowił wydawać własną gazetę. Doszło do powołania do życia „Straży”. W jej pierwszym numerze (jego stroną tytułową prezentujemy obok) wyłożył program. Po pierwsze, Polacy mają być właścicielami kościołów przez siebie zbudowanych i utrzymywanych. Po drugie, mają prawo zarządzania majątkiem parafii. Po trzecie, mają prawo wyboru proboszcza (naturalnie spośród grona znanych im duszpasterzy). Nie były to żądania ani obrazoburcze, ani zagrażające dogmatom Kościoła, wystarczyły jednak do skutecznego zantagonizowania parafii ze społecznością Scranton, w tym także z rodakami, którzy pozostali przy parafiach kierowanych przez nie-Polaków.

4 lipca 1897 roku Franciszek Hodur poświęcił nowo wybudowaną świątynię. Jroczyście zgromadziła ponad dwa tysiące jego zwolenników ze Scranton i okolicznych miejscowości: Wilkes-Barre, Plymouth, Duryea, Dickson City. Liczba ta zresztą szybko wzrastała. Prócz działalności duszpasterskiej ks. Hodur prowadził aktywną publicystykę na łamach „Straży”, walcząc z prawodawstwem dyskryminującym wiernych, a preferującym biskupów. Dostrzegal

w nim zagrożenie dla polskości wychodźstwa i jego narodowej podmiotowości. W końcu 1897 roku postanowił swoje stanowisko przedstawić w Watykanie i prosić o koncesję dla rzeszy polskich wiernych w USA.

Jechał do Stolicy Apostolskiej wyposażony w „Memorial” podpisany przez pięć tysięcy wiernych oraz wiarę w pozytywne rozstrzygnięcie sporu. Po drodze zatrzymał się w rodzinnym Krakowie, gdzie po latach spotkał swego przyjaciela, księdza Stojalowskiego. Wówczas posła do sejmu galicyjskiego. Oprócz względów przyjacielsko-towarzyskich, Hodur spodziewał się także od Stojalowskiego innej pomocy. Przebywał on przez dłuższy czas w Rzymie, gdzie zabiegał o skasowanie ekskomunikacji, nałożonej nań przez krakowską hierarchię za aktywność w radykalnym ruchu chłopskim. Zakończyła się owa misja powodzeniem, a ks. Stojalowski wyniósł z niej dobrą znajomość watykańskiej dyplomacji i polityki. Także osobiste cenną była znajomość z ks. Gormierem, spowiednikiem papieża Leona XIII.

W styczniu 1898 roku delegacja z Hodurem na czele dotarła do Rzymu. Po licznych zabiegach udało się jej przewodniczącemu dotrzeć do kardynała Halki-Ledóchowskiego, prefekta Kongregacji Rozkrzewiania Wiary, byłego arcybiskupa gnieźnieńskiego. Przekazano mu świętopietrze parafii św. Stanisława, BM w Scranton, którego nie chciano posyłać via biskup O'Hara oraz „Memorial”.

W tym z pasją i patriotyzmem napisanym dokumencie można przeczytać m. in.:

„[...] Pod płaszczem tych ksiąg Kościoła, którzy nie znają ani języka, ani historii, ani szerszego charakteru potworzyły się wprost potworne stosunki społeczno-religijne. Naród oddzielony przez księży, którym raczej należy się miłośno poborować podatków i pijańkę, naród maltretowany, uciskany, wyzyskiwany i polityczkowany — udawał się do biskupów z prośbą o ulgę, o zmianę księży, o jakieś prawo dla siebie, o obronę przed katedrami tyranem, lecz zawsze odchodził zlekceważony. Dzieje kolonii polskiej w Chicago, New York, Cleveland, Buffalo, Bay City, Scranton, Philadelphia, Nanticoke, Wilkes-Barre i wielu innych, w których żyją setki tysięcy Polaków, mogłyby zaświadczyc, jak okropne i tragiczne sceny odegrały się w polskich kościołach”.

Dalej wierni zwracali się do Stolicy Apostolskiej o:

1. polskiego przedstawiciela w episkopacie amerykańskim, orędownika polskiej sprawy; 2. unarodowienie własności kościołów budowanych przez Polaków; 3. przyznanie ludowi praw, które w Europie posiadał tzw. kollator (w praktyce: uzgadnianie przez biskupa obsadzenia probostwa z parafianami); 4. prowadzenie administracji finansowej parafii przez ludzi wyłonionych spośród wiernych. W zakończeniu zaś następowo: „Poza tymi postulatami, nie tyczącymi dogmatów wiary, ani ustroju Kościoła Świętego, poddajemy się z całym zaufaniem kierownictwu

Świętej Matki Kościoła. [...] Przypie-
kamy żyć i umierać jako wierni wy-
znawcy prawdziwego Zgromadzenia Je-
zusowego na ziemi”.

Odpowiedź kardynała-Polaka poraziła Franciszka Hodura. Ledóchowski oświadczył, iż Watykan nie ma zamiaru ustanawiania osobnych praw, ani biskupów „dla tej garści katolików polskiego pochodzenia w Ameryce, skazanej niezawodnie na wynarodowienie pośród kulturalnego i bogatego otoczenia”. Ta wypowiedź (cytat ze wspomnień Hodura) została powtórzona w nieco złagodzonej formie w piśmie przekazanym przez ks. Martinello, delegata papieskiego w Waszyngtonie. Rozgoryczony Franciszek Hodur zrezygnował w takiej sytuacji, z przyznanej mu audiencji papieskiej i powrócił do Ameryki.

18 września 1898 roku na zebraniu społeczności parafialnej Hodur odczytał list kard. Ledóchowskiego przekazany przez ks. Martinello, a następnie zwrócił się, aby sami wierni rozstrzygnęli, co dalej mają robić. „A co ksiądz zamierza za sobą robić?” — padło pytanie.

— Jeszcze nie wiem, ale do Rzymu nie wrócę...

— Wobec tego i my nie wrócimy! — odrzekł najpierw Michał Szczygliński.

Potem słowa te podchwycili wszyscy zebrani powstając z miejsc i głośno skandując: „Nie wrócimy! Nie wrócimy!” Następnie wierni podjęli rezolucję o „zdaniu się na wolę Bożą i pracy z przewodnikiem księdzem proboszczem Franciszkiem Hodurą dla dobra dusz i dla wolności polskiego ludu w Ameryce”. Tak nastąpiło pożegnanie z Rzymem.

2 października 1898 roku biskupi ekskomunikowali ks. Hodura (i wszystkich zbuntowanych parafian) dokumentem utrzymanym w duchu i retoryce inkwizycyjnej. Nie zabrakło w nim i takiego passusu: „[...] odcinamy ostrzem kościelnej ekskomunikacji członka chorego, nie przyjmującego lekarstwa naszego upomnienia, aby przypadkiem nie zatruł reszty ciała Świętego Kościoła”. Ekskomunikę odczytano publicznie we

wszystkich kościołach diecezji scrantonskiej. Uczynił to również Franciszek Hodur wobec tłumów parafian. Potem spalił pismo, a popiół wierni wrzucili do pobliskiego strumienia. Schizma stała się faktem dokonany, która w następnych latach wyewoluowała do Polskiego Narodowego Katolickiego Kościoła w Ameryce.

Dzieje tego Kościoła mogłyby stanowić kanwę innego tekstu, zapewne także interesującego w obszarze, na przykład, wyobrażeń o naszej narodowej tolerancji. Jest to jednak już temat na inny raz.

Cementując scrantonską, a potem także ogólnoamerykańską, społeczność narodowych katolików, Franciszek Hodur założył Polską Unię Narodową oraz związane z nią Bratnią Pomoc i Unię Kredytową „Spójnia”. Było to w 1908 roku. W bieżącym Unia i „Spójnia” obchodziły swe osiemdziesiątce. Nadal działają koncentrując się głównie na działalności ubezpieczeniowej oraz kredytowej (m.in. udzielanie korzystnych kredytów na studia w renomowanych uczelniach). Aktywnie działa wydawnictwo Kościoła i Unii noszące imię tygodnika „Straż”, o którym jeszcze chcę napisać.

Dziś chciałem skoncentrować się na postaci Franciszka Hodura, patrioty i nieprzeciętnego Polaka, który wybrał drogę do polskości i Polski odmienną niż większość Polonii. Wiodła ona przez rozstanie się z narodową świętością ogromnej większości Polaków: Kościołem rzymskokatolickim. Czy znaczy to, iż była to droga niepoliska? Gorsza?

Narodowi katolicy z USA zdawali patriotyczny egzamin w armii generała Hallera, w amerykańskich formacjach bojowych podczas II wojny światowej. Także na sposób, jaki dyktowało im sumienie i wiara, w działalności misyjnej na terenie Starego Kraju. Nie była to droga usłana różami: często wiodła przez eudeckie tumulty, bratobójcze morderstwa niespokojnego czasu powojennego czy stalinowskie więzienia. Była to jednak zawsze droga własna. Droga zapoczątkowana przez Franciszka Hodurę w Scranton.

nim dyzury i zastępowałem dyrektora podczas jego urlopow. Powiedziano mi tak, raczej beceremonialnie: — Przecież pan wybrał chirurgię, a u nas — już zrobił swoje!

— Murzyn zrobił swoje...

— Ale podobno w Polsce nie było wtedy ani jednego Murzyna! Dzisiaj stać mnie na żarty, ale wtedy poczułem się dotknięty moralnie i materialnie; przecież miałem już dzieci na utrzymaniu.

— Co obecnie wchodzi w obręb pańskich szczególnych zainteresowań zawodowych?

— Wątroba, trzustka, jelito grube, operacje naprawcze dróg żółciowych, całkowite usunięcie żołądka, przeszczepy nerek.

— Na pierwszym miejscu umieścić pan wątrobę...

— Bo przedmiotem mojej pracy doktorackiej i habilitacji (1968) była właśnie anatomia chirurgiczna wątroby. Od lat intryguje mnie ten wielofunkcyjny, niezwykle gruczoł o zawilej budowie, długo budzący respekt chirurgów całego świata, którzy „weszli” w wątrobę dopiero na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, po skrupulatnym zbadaniu budowy narządu i dzięki wielkiemu postępowi anesteziologii oraz intensywnej opiece i kooperacyjnej. Anatomiczne wycięcie fragmentu wątroby, które wykonał mi w Lublinie 1962 roku, okazało się pierwszym w Polsce. Premierowy charakter miała też stosowna publikacja naukowa, związana tematycznie z tą operacją, a przygotowana przeze mnie i Stanisława Jabłonkę. Warto odnoto-

wać, że profesor Onyszkiewicz od początku zachęcał nas do tej pracy, która — patrząc w perspektywie czasu — dała chyba niezłe rezultaty, skoro dziś I Klinice Chirurgii Ogólnej przyznaje się czołową rolę w kraju i znaczącą w świecie, właśnie w badaniu i operowaniu wątroby.

— Wątrobę, zdumiewające, mam jeszcze zdrową, ale na wszelki wypadek zapytam, co się tutaj wycina?

— Resekcję stosujemy przy nowotworach złośliwych niezbyt zaawansowanych i przy ciężkich obrażeniach lewego lub prawego płata wątroby. Jeśli taki płat ulegnie zmiążdżeniu, nie pomoże jego zszywanie, niosące zresztą groźbę różnych powikłań, często śmiertelnych.

— Czy wątroba częściowo amputowana w następstwie resekcji stanowi organ kaleki, niezdolny do pełnienia swoich wszystkich funkcji?

— Pan nie docenia wątroby, tego laboratorium organizmu!

— Nie przypuszczam, że o jakimś tam gruczole można wyrażać się tak emocjonalnie, jak mam przyjemność słyszeć. Wątroba przynosi, ale wątroba kojarzy mi się głównie z patelnią.

— Gość w dom, zatem uraduję pana wyznając, że w okresie śledzenia nad pracą docłotorską nie mogłem patrzeć na smażoną wątróbkę. Ad sam: nie należy tego procesu metabolicznego w ustroju człowieka, który odbywałby się z pominięciem wątroby. Jest to narząd miąższowy, wadzący nawet półtora kilograma i co ważniejsze — posiadający odrębną zdolność regeneracji. W pół

roczu po wycięciu 80 procent objętości odzyskuje normalną wagę i funkcję, a u szczurów — już po trzech tygodniach. Bodźcem regeneracji jest właśnie chirurgiczne usunięcie części lub nawet znacznej części wątroby. Ginąc odbudowuje się jednocześnie za sprawą kodu genetycznego.

— Proszę przypomnieć jakąś szczególnie trudną czy efektowną operację, przeprowadzoną przez siebie.

— Włdzi pan, w pamięci chirurgów zwykle notują się niepowodzenia. Smutne, ale każdy z nas posiada własny cmentarz. Inna sprawa, że śmierć na stole operacyjnym zdarza się dzisiaj bardzo rzadko, częściej występując w okresie następującym po zabiegu, nawet długo po nim.

— Cóż, współczesna chirurgia dysponuje niewyłącznie sprawną techniką, urządzeniami do endoskopii i ultrasonografii, tomografem komputerowym i laserem...

— Technicznej nowoczesności to my mamy tyle w klinice, co kot napłakał! — Pośrednio wynika z tego wniosek z lekka optymistyczny: że nie wszystko jeszcze w medycynie zależy od techniki. Ale co na to powiedzieliby farmakolodzy, którzy mogą tylko pomarzyć sobie o pospolitych odczynnikach?!

— Niestety, ubodzy nie mają szans na rozwinięcie własnych uzdolnień. Po prostu się, że niektóre kliniki w Polsce mają wspaniałe wyposażenie.

— Ile publikacji listy pańska bibliografia naukowa?

— 146. — Kiedy otrzymał pan nominację na profesora nadzwyczajnego?

— W piątek, 13 maja 1977 roku rektor Samczuk poinformował mnie telefonicznie, że zostałem profesorem. Zapamiętałem ten dzień dokładnie, albo widać wtedy też dotarła do kłótni wiadomość o przyznaniu mi przez wojewodę łódzkiego na łódź. Ależ ona miała przypięszenie!

— Ile lekarzy pracuje w klinice?

— 22. Zdolnych.

— Pielęgniarek jest?

— Około 50. Robią dużo i dobrze, z kochliwością i dobrą wolą zastępując nawet salowe.

— Liczba łóżek w klinice?

— Ciągłe za małą wobec potrzeb: około 70.

— Dziękuję za rozmowę.

— Chwileczkę: pamięta pan psa, z którym czasami spacerowałem w pobliżu osiedla, gdzie pan mieszka?

— „Czakarta”? Jak się miewa?

— Nie żyje. „Ten pies godzi się na odejście”, powiedział lekarz weterynarii, do którego przywoziłem staruszkę.

— Zen-buddyzm głosi, że świat wypełniają byty równorzędne, zatem między człowiekiem i zwierzęciem, między trawą stepową i orlem nie ma różnicy wartości. Natura istnienia jest jednaka, odmienne są tylko kostiumy naszych kolejnych wcieleń.

— Optymistyczne.

— I o to właśnie chodziło!

Rozmawiał:
Ireneusz J. Kamiński

kamena 11

KAJETAN Jan Kanty Konstanty Kicki (1803—1878) miał znaczny majątek, rozłożony na 5300 hektarach ziemi, gruntowną wiedzę rolniczą, ochotę na pisanie artykułów do prasy fachowej, ale dzięki takim wartościom i przymiotom nie przeszedłby zapewne do tego rozdziału polskiej historii, nad którym pochylamy się szczególnie uważnie i serdecznie, choć jest to fragment nie uzbrojony w szabelki, dwururki i patetyczne hasła bogoojczyźniane.

Hrabia Kicki miał coś jeszcze: taki umysł i taką duszę, jakie ze względu na swój nietypowy format i profil nie mieściły się w mentalnym wzorze typowego magnata polskiego tamtych czasów.

Hrabia Kicki rozumiał bowiem, że nasz los narodowy zależy przede wszystkim od pracy, praktycznej mądrości i od tego, czy potrafimy ukształtować poczucie wspólnoty w oświeconym wysiłku.

Tak myśląc, cały swój majątek przekazał Kicki na cele społeczno-filantropijne, na podnoszenie wiedzy rolniczej wśród ludu i rozwijanie nowoczesnych metod gospodarowania na wsi.

Jego dobra, rozciągające się od okolic Rawy Ruskiej po Lubelszczyznę, obejmowały m. in. Sobieszyn w pobliżu Kocka.

I tam właśnie, zgodnie z wizją hrabiego, wzniesiono i otwarto w 1896 roku szkołę rolniczą, do której zaczęły uczęszczać dzieci chłopskie z wiosek okalających Garwolin, Siedlce, Łuków i Radzyń Podlaski.

Istnieje ona do dzisiaj jako Zespół Szkół Rolniczych, rozsądnie rozbudowany w latach sześćdziesiątych społecznym wysiłkiem mieszkańców Sobieszyna oraz państwa.

Ostatnio mówi się tam, że szkoła powinna nosić imię hrabiego Kickiego. Z aprobatą należy odnotować takie znaki mądrzejszych fragmentów naszego powikłanego czasu. Kto nie dba o tradycje, ten sam się wydziedzicza.

W sobieszynskiej szkole odbył się niedawno (21—23 X) IV Zjazd Towarzystw Regionalnych Lubelszczyzny, na który zjechało się 89 stowarzyszonych społeczników i 25 gości, w sumie więcej, niż spodziewali się organizatorzy.

W Sobieszynie pojawili się początkujący i „starzy” regionaliści. Wśród tych ostatnich wyróżniali się: Wincenty Piątak, Władysław Kossowski i Stanisław Głowacki (z Hrubieszowa), Władysław Kuchta i Zenon Stachira (z Chelma), Jan Smolarz (z Lubartowa), Jerzy Markiewicz (z Bilgoraja) i Stanisław Surdacki z Urzędowa. Był oczywiście na zjeździe Zygmunt Mańkowski, uniwersytecki protagonista nowoczesnie pojmowanego regionalizmu, inicjator

białskopodlaskiego, chełmskiego, lubelskiego, tarnobrzeskiego i zamojskiego. [...]

To także można umieścić na liście znaków czasu, aczkolwiek sama idea wspomnianej federacji zarysowała się już prawie 20 lat temu. Wiem, co piszę, albowiem należałem do jej rzeczników, głosząc ponadto potrzebę wyposażeń wsi w dobra kulturalne i cywilizacyjne — by zatrzymać ucieczkę

poczuciu szeroko pojmowanej kultury. Pojedyncze towarzystwa sporo już zresztą osiągnęły w tej mierze, czego dowodem dokonania Towarzystwa Regionalnego Hrubieszowskiego czy Towarzystwa Ziemi Urzędowskiej, a także Towarzystwa Przyjaciół Puław jako organizatora sesji naukowej „Środowisko a zdrowie człowieka”.

Administracyjne i polityczne władze wojewódzkie z reguły wspierają działalność regionalistów. Gorzej w tzw.

Regionalne znaki czasu

Nagrody im. Zygmunta Klukowskiego, przyznawanej wybitnym działaczom ruchu, a sygnowanej okazałym medalem z wizerunkiem patrona, który zaprojektowała Jadwiga Słomianowska. Był tam — z urzędu i serdecznej potrzeby — Kazimierz Spalenc, sekretarz Wojewódzkiej Rady Towarzystw Regionalnych, która z lubelskim WDK i Sobieszynskim Towarzystwem Regionalnym zjazd przygotowała.

Wymieniam te nazwiska nie tylko z uszanowania dla noszących je osób. Rzecz w tym, że po raz pierwszy od wielu lat na lubelskie z nazwy (województwie) spotkali regionalistów przybyli reprezentanci towarzystw z całej wielkiej Lubelszczyzny! Przybyli chętnie, wręcz skwapliwie, jakby manifestując genetyczną, historyczną i kulturową wspólnotę tego obszaru, niefortunnie pociętego na części w połowie minionej dekady. Mało tego: zjazd przyjął formalny wniosek o takim brzmieniu:

„Zebrani widzą pilną potrzebę ożywienia działalności Wojewódzkiej Rady Towarzystw Regionalnych w Lublinie i przygotowanie propozycji utworzenia federacji towarzystw z województw:

młodzię z tych terenów. Wtedy trąciło to herezję, zatem zostałem publicznie skarcony (w Naleczowie) z pozycji „politycznie słusznego”, jak się jednak okazało, przejściowo „słusznego”.

Program zjazdu nawiązywał po części do 70. rocznicy odrodzenia państwa polskiego. Taka była tematyka referatów prof. Wiesława Śladkowskiego i doc. Jana Lewandowskiego, o lokalnych wydarzeniach 1918 roku opowiedzieli sami regionaliści, ludzie działający zwykle w niewielkich miastach i na terenie gmin. Z zaciekawieniem wysłuchano np. komunikatów młodego Sylwestra Piechoty z Zaklikowa, mec. Kurzyca (z Towarzystwa Przyjaciół Stężyce) i Stanisława Paszkowskiego (z Towarzystwa Przyjaciół Dębina).

Najbardziej gorąca okazała się przecież część dyskusyjna zjazdu. Poruszano sprawy, problemy i sprawy, czasami chyba błahe, ale wektor całej rady był poważny. Okazało się, że ten ruch aspiruje do roli społecznej formacji opiniotwórczej, zamierza dopracować się pozycji autentycznego partnera władz w rozwiązywaniu różnych istotnych kwestii danego środowiska, choćby takich, które stanowią o samo-

terenie, w gminach, gdzie ludzie dobrej woli latami czekają na rejestrację stowarzyszeń przez urzędników, pełnych nieufności do spontanicznej inicjatywy obywateli. Towarzystwo Przyjaciół Gołębia trzy lata zabiegało o oficjalne uznanie, społecznicy z Markuszowa i Karczmisk od dwóch lat starają się o rejestrację — jak dotąd, bezskutecznie.

Mimo wszelkie przeszkody, ruch regionalny w granicach wielkiej Lubelszczyzny rozwija się zdumiewająco żywo. Obecnie istnieją 43 towarzystwa (z czego 28 w woj. lubelskim), ale liczba ta zwiększa się z roku na rok, co ja mówię — z kwartału na kwartał!

Powojenna historia ruchu regionalnego dowodzi, że dynamika jego aktywności jest wprost proporcjonalna do postępów demokracji w Polsce.

Znaki czasu...

IJK

PS. Ma też chyba jakieś znaczenia decyzja o przyznaniu Lublinowi organizacji IV Kongresu Towarzystw Regionalnych i Społeczno-Kulturalnych. Ta ogólnopolska impreza odbędzie się w 1990 roku.

Ekran i widz

O robocie który zaczął myśleć

AMERYKANSKI reżyser, John Badham, kocha science fiction, fascynuje go elektronika, a przy tym posiada poczucie humoru. To wszystko w sumie sprawia, że jego filmy (a ich bohaterami są siejące śmierć superhelikoptery, grożące wywołaniem wojny nuklearnej mózgi elektroniczne, które wyrwały się spod kontroli człowieka, lub — wyposażone w broń laserową wojskowe roboty) mają bardzo ludzki, bardzo humanistyczny wymiar...

Groźnym maszynem, wyprodukowanym przez złych ludzi w celu stosowania na świecie przemocy, przeciwstawia Badham zawsze budzących sympatię bohaterów pozytywnych: młodych genialnych elektroników, lub natchnionych konstruktorów-wynalazców, Trochę naiwnych, trochę życiowo niezaradnych, ale za to emanujących ciepłem i kochających świat.

W filmie Badhama „Błękitny grom”, porażającym swym okrucieństwem, zdarzają się co chwila — komiczne scenki. Jak na przykład ta, w której załoga bojowego helikoptera „zawieszona” go o określonych porach przed jedną z kamieni, aby przy pomocy całej wyszukanej szpiegowskiej aparatury podglądowo-podsłuchowej obserwować... pewną przystojną dziewczynę, która lubi chodzić nago po mieszkaniu.

W „Grach wojennych” bohaterem pozytywnym jest genialny, ale zarazem zupełnie beztrocki uczeń liceum. Przy pomocy swego domowego komputera „włamuje się” on poprzez wszystkie przemysłowe zaprojektowane blokady do systemu wojennego amerykańskiego komputera. I „dla draki” zaprogramuje go do... wojny atomowej ze Związkiem Radzieckim.

Momenty grozy przeplatają się w „Grach wojennych” ze scenami igras farsowymi: kiedy to wojskowi na całym świecie popadają w popłoch, a najęźsi naukowcy-elektronicy nie potrafią opłonić oszalełego komputera. I dopiero młodocianemu sprawnemu tego całego gigantycznego zamieszania udaje się ostatecznie w zabawny, „sztubacki” sposób „przechrzyć” groźną maszynę...

W kolejnym filmie Johna Badhama, „Krótkim śpięciu” (który właśnie wszedł na nasze ekrany) owego specyficznego humoru zderzającego się bezustannie z „zimną” techniką jest wyjątkowo dużo. Mamy do czynienia z klasyczną komedią, o tyle tylko nietypową, że dziejącą się w środowisku ludzi oraz... stalowych robotów.

Parą głównych bohaterów są: wojenny robot „Numer 5” przystosowany w wojskowym laboratorium konstrukcyjnym „NOVA” (która to nazwa dziwnie kojarzy się z „NASA”) do zwalczania laserowym ogniem nieprzyjacielskich czołgów, oraz jego twórca — młody, sympatyczny elektronik, który zaprojektował robota w zupełnie innym celu i miał on mu służyć pomocą w... gospodarstwie domowym, pełniąc funkcje kucharki, pokojówki i kamerdynera...

Nagle uderzenie pioruna w instalację, zasilającą elektroniczne systemy „Numeru 5”, powoduje tzw. „krótkie śpięcie” i sprawia, że bezduszna, podlegająca jedynie zewnętrznemu programowaniu, maszyna zaczyna myśleć samodzielnie. Robot ucieka z laboratorium, i... znalazłszy opiekę u dziewczyny, która bierze go za przybysza z kosmosu, zaczyna zachłannie przyswajać sobie wiedzę o otaczającym go świecie, zawzięcie wertując kolejne tomy encyklopedii, co powoduje nieprawdopodobny zamęt w jego mózgu!

„Numer 5”, choć jest stalową „konstrukcją” tocząca się zresztą na gąsienicowym wózku, chwilami do złudzenia przypomina sposobem zachowania bohatera słynnego filmu Stevena Spielberga, zabawnego „E.T.”.

I, podobnie jak w wypadku tamtej filmowej „postaci” — zachwyca precyzją i pomysłowością, z jaką animatorzy i spece od efektów specjalnych „ożywiają” i „uczłowieczają” robota „Numer 5”.

Robot, który nauczył się myśleć samodzielnie i nie chce już teraz nikogo, lecz nie chce być także unicestwionym (a to znaczy: zdemontowanym) przez złych ludzi, jest początkowo zabawny, a z czasem — głęboko wzruszający.

Kiedy „Numer 5” wraz z parą swych przyjaciół: konstruktorem Newtonem Crosby i właścicielką baru na kółkach, energiczną Stephanie, decydują się na obfitującą w mnóstwo niezwykłych przygód ucieczkę przed ludźmi bezwzględnej szefa ochrony laboratorium „NOVA” — Skroedera, owa



Stephanie Speck (Ally Sheedy) i Newton Crosby (Steve Guttenberg) usiłują walczyć z prześladowcami robota „Numer 5”, który tymczasem ukrył się we wnętrzu samochodu...

rozgrywająca się według wszelkich klasycznych reguł „gonitwa i ucieczka po amerykańsku” zaczyna coraz mocniej pobrzmiwać nutami tragicznymi.

Oto mamy przed oczyma okrutne polowanie na niewinną zaszczepioną żywą istotę, w dramatyczny sposób walczącą o przetrwanie. Cóż za różnica, że w piersi tej istoty bije elektroniczne serce?

Komedia, dramat i tragedia przenikają się w „Krótkim śpięciu” Johna Badhama z igras mistrzowską precyzją. I nagle uświadamiamy sobie, że ta pozornie beztroška komedia science fiction, jest przecież zarazem całkiem poważnym filmem. Swoistym moralitetem na temat dobra i zła, istoty życia i śmierci, woli przetrwania i filozofii przemocy.

Alści, jako że „Krótkie śpięcie” jest jednak przede wszystkim komedią, więc i zakończenie musi być tu „pozytywne”. Choć... całkiem nieoczekiwane i zupełnie zaskakujące.

A jakie, tego nie zdradzę. Zachęcam natomiast wszystkich miłośników dobrego kina do obejrzenia tego naprawdę doskonale zrobionego, zabawnego, mądrego filmu.

Przypominając zarazem, że choć „myślenie ma kolosalną przyszłość”, to jest ono jedną z najbardziej niebezpiecznych czynności pod słońcem.

M. D.

SEUL - TOKIO - PEKIN

O azjatyckim tournée Zespołu Tańca Ludowego UMCS mówi prof. Zygmunt Mańkowski prorektor Uniwersytetu

— Ostatnia, od początku września do połowy października br., podróż Zespołu Tańca Ludowego UMCS po krajach Dalekiego Wschodu była najdłuższym tournée w całej jego trzydziestopięcioletniej historii...

— Tak. A że towarzyszyłem temu zespołowi, jestem „koronnym świadkiem” i owej niezwyklej podróży, i sukcesów artystycznych podczas tournée. Trzydziestoseśćosobowa grupa z UMCS przebyła blisko trzydzieści tysięcy kilometrów. Zespół podróżował pięcioma różnymi liniami lotniczymi, spędził w powietrzu trzydzieści godzin. Występował w czterech krajach: ZSRR (Moskwa), Korei Południowej, Japonii i Chinach, dając ogółem dwadzieścia osiem koncertów. Koncerty te obejrzało około dwustu pięćdziesięciu tysięcy widzów. Nie licząc — telewizyjnie z całego świata, bowiem występ zespołu z UMCS w przededniu otwarcia olimpiady w Seulu był filmowany i transmitowany przez pięćdziesiąt pięć stacji telewizyjnych z różnych krajów.

W tym roku zespół obchodził, z ogromnym rozmachem, tak zresztą charakterystycznym dla działalności jego wieloletniego kierownika Stanisława Leszczyńskiego, swoje 35-lecie. I tak się złożyło, że dalekie Chiny stały się akurat... trzydziestym piątym krajem, do którego zespół zawiązał w czasie swego istnienia. Muszę powiedzieć, że za każdym razem, kiedy na początku występu konferansjer podnosił „zbieżność” tych dwóch liczb, przez chińską widownię przebiegał szmer podziwu.

— Jak to się stało, że akurat Zespół Tańca Ludowego UMCS został zaproszony — on właśnie spośród wielu podobnych zespołów na świecie — na Igrzyska Olimpijskie w Seulu?

— Może zaczęło od tego, że Koreańczycy przygotowując się do Olimpiady myśleli nie tylko o jak najlepszym przygotowaniu igrzysk sportowych. Chcieli oni równocześnie zapewnić widzom z całego świata wielki festiwal artystyczny. I to się im w pełni udało.

W czasie Olimpiady w Seulu obradował kongres międzynarodowej organizacji popierania folkloru CIOFF i właśnie krajowy koreański komitet CIOFF zaprosił z okazji tego światowego kongresu, a także — Olimpiady, dwanaście najlepszych, zdaniem organizatorów, zespołów folklorystycznych z czterech kontynentów. Wzięły one udział w Seulskim Międzynarodowym Festiwalu Folkloru. Wśród tej „dwunastki” znalazły się, poza Polakami z Lublina, także m.in.: Amerykanie, Włosi, Francuzi, Senegalczyki, Nowozelandczycy... Należy więc podkreślić, że już sam fakt zaproszenia Zespołu Tańca Ludowego UMCS był niezwykle wyróżnieniem...

— No dobrze, ale skąd zespół wziął się następnie w Japonii i w Chinach?

— Skoro lubelscy tancerze-studenci mieli już przebyć ponad dwadzieścia tysięcy kilometrów z samej tylko Warszawy do Seulu, to aż się

prosiło, aby wykorzystać niezwykle szansę dostania się „za jednym zamachem” do niedaleko, stosunkowo, położonej Japonii. A także do Chin, leżących prawie „po drodze” na trasie powrotnej z Japonii do Polski. Leszczyński, który jest doprawdy wielkim menadżerem, nigdy by sobie nie darował, gdyby przegapił taką szansę.

— Ale od zamysłu do jego realizacji droga daleka...

— Ale nie dla ludzi z inwencją! Jeszcze w Lublinie, w jakiś zupełnie nieprawdopodobny sposób, zdołał Leszczyński nawiązać kontakt z miłośnikami (jak się okazuje: niezwykle licznymi w Japonii) folkloru. Rzecz niezwykle: wśród Japończyków są także liczni miłośnicy folkloru polskiego. Powiem więcej: aż trudno uwierzyć, ale melodia oraz japońskie tłumaczenie naszej znanej piosenki „Sza dzieweczka do laseczka” znajduje się... w japońskich podręcznikach szkolnych!



W czasie pobytu w Japonii... Stoją od lewej: prof. Zygmunt Mańkowski, jeden z japońskich organizatorów, pani Elżbieta, Polka z Tokio, oraz Stanisław Leszczyński — kierownik Zespołu Tańca Ludowego UMCS.

— Gdzie występował zespół?

— Przede wszystkim w Tokio, a także w miastach Sendai, Kanazawie. W tym ostatnim, pięknym historycznym mieście, mieliśmy m.in. możliwość obejrzenia słynnego w całej Japonii Ogrodu Samurajów.

— Przyjmowano was serdecznie i gościnnie?

— Więcej: spotkaliśmy się w Japonii z niezwykłymi wodami sympatii dla Polski, Polaków i polskiego folkloru. Zespół dosłownie zasypywany był kwiatami, występował w pięknych teatrach przy pełnej widowni i miał wzruszające spotkania z klubami folklorystycznymi. Podczas tych spotkań nasi studenci uczyli Japończyków tańców polskich, a sami uczyli się od gospodarzy ich tańców narodowych. Zaś w jednym z japońskich klubów folklorystycznych dziewczęta i chłopcy naszego zespołu przygotowali nawet polski obiad. Nawiasem mówiąc, mięso na kotlety schabowe trzeba było — wobec zupełnego braku młotków

była to córka jednego z tamtejszych milionerów, stojąca na czele fundacji filantropijnej „Kwitnąca wiśnia”. Należy wspomnieć, że jej ojciec zajmuje się m.in. eksportem sadzonek kwitnącej wiśni do licznych krajów świata. Otóż pani ta zaprosiła mnie i Leszczyńskiego do złożenia wizyty w jej rezydencji. I tam, w niezwykle miłych, ale zarazem i dramatycznych okolicznościach (w pewnym momencie nastąpiło trzęsienie ziemi) ofiarowała zespołowi piękną lalkę wykonaną przez wybitnego artystę. Lalka znajdowała się w równie pięknym, kryształowym opakowaniu. Co ciekawsze: nadana przez ofiarodawczynię specjalną pocztą do Polski przesyłka dotarła do lubelskiej „Chatki Zaka” wcześniej, niż my zdołaliśmy powrócić do kraju.



Zespół Tańca Ludowego UMCS przed wyjazdem do Seulu — IX 1988.

— Wśród tak wielu niezwykle wrażeń, jakie szczególnie zapadło ci w pamięci podczas podróży po Japonii?

— W przerwie jednego z koncertów za kulisami pojawiła się, w dość licznej asyście, piękna młoda Japonka z bukietem egzotycznych kwiatów w dłoniach. Jak się okazało,



Fot. Andrzej Polakowski

swego czasu kontakt z goszczącą w Polsce a także w Lublinie delegacją federacji stowarzyszeń twórczych Chin uczestniczącą także w obchodach 35-lecia naszego zespołu, znaleźliśmy się w Chinach. Naszym sponsorem była właśnie wspomniana tutaj chińska federacja.

Chiny są krajem niezwykle intrygującym i można by w tym miejscu rozpocząć całą wielką opowieść o naszym tam pobycie. Ograniczmy się jednak do stwierdzenia, że występowaliśmy w liczącym dziesięć milionów mieszkańców Bejdżinie (bo tak właśnie powinna brzmieć nazwa Pekinu), oraz w liczącym ośmiem milionów mieszkańców Tejdżinie.

— Jak przyjmowała polskie tańce chińska widownia?

— Muszę powiedzieć, że widz chiński okazał się zupełnie inny niż japoński i koreański. Dla Chińczyków folklor polski był albo niezrozumiały, albo tak wręcz zaskakujący, że nie potrafił się wytworzyć pożądanego kontaktu pomiędzy sceną a widownią. Nie znaczy to, że zespół nie spotkał się ze strony bardziej wyrobionych widzów ze słowami największego uznania. Do księgi-kroniki podróży wpisało się wielu działaczy politycznych, społecznych, poetów i malarzy, zamieszczając piękne, wyszukane strofy...

— To może jeszcze, na zakończenie, powiesz, jakie było twoje największe przeżycie w czasie całej podróży na trasie Seul — Tokio — Pekin?

— Spotkanie się z Azją, z Dalekim Wschodem, z jego krajobrazem, kolorystyką, atmosferą, sztuką, z jego mieszkańcami jest już, samo w sobie, przeżyciem niepowtarzalnym, a nawet — szokującym.

Jednak zgodnie z całym zespołem stwierdziliśmy, że to właśnie nasze wejście na stadion olimpijski w Seulu podczas uroczystego otwarcia Igrzysk; wkroczenie tam w polskich strojach ludowych (ja też taki strój miałem na sobie), z polską chorągwią na czele pozostanie na zawsze dla nas niezapomnianym przeżyciem.

Wokół stadionu i, oczywiście, na samym stadionie panowała atmosfera niezwyklego uniesienia, poczucie braterstwa. Było kolorowo, pięknie, radośnie. A nad tym wszystkim unosiła się wspaniała pieśń olimpijska: „Hand in hand...” — śpiewana także przez nasz Zespół Tańca Ludowego UMCS.

Rozmawiał: **Mirosław Derecki**



Fot. Andrzej Polakowski

Morze i Ziemia

Wyścig z konikiem

Jerzy Timen

PODEJMOWANIE jakichkolwiek działań na dewizowym rynku w Polsce do złudzenia przypomina dziś żegluga tankowca po sztormowym morzu. Ludziom na kapitańskim mostku chodzi przy tym już nie tyle o ratowanie swej jednostki przed katastrofą, ile o uchronienie morza przed zagładą. Morza, czyli gospodarki zmuszonej do normalnego funkcjonowania w kraju, gdzie faktycznie kursują dwie waluty. A dzieje się tak z dwóch zasadniczych powodów: z uwagi na wysoki stopień skomplikowania obowiązujących wciąż przepisów z minionej epoki oraz dlatego, że nadal poruszamy się po tym rynku z wdziękiem słonia wpuszczonego do sklepu z porcelaną.

7 kursów

Oto dowody. Palców jednej ręki nie starcza, by wliczyć liczbę i rodzaje kursów walut stosowanych w Polsce. Bankowcy twierdzą, że do ubiegłego roku było ich sześć: cztery oficjalne, legalne niejako, i dwa — z pogranicza czarnego rynku.

Jest więc kurs podstawowy obowiązujący w ramach tzw. rozliczeń nie-handlowych. Zgodnie z nim za rubla płacono się we wrześniu br. 134, a za dolara — 480 złotych. Obok niego istnieje kurs rozliczeń handlowych w obrotach wewnętrznych i obszar płatniczego (między krajami RWPG). W oparciu o przyjęte tu reguły ten sam rubel jest już droższy i kosztuje — 215 zł.

Na tym nie koniec, bo teraz dopiero zaczynają się meandry kursów turystycznych, w myśl których waluty sprzedaje się za specjalną dopłatą. Wynosi ona 50 proc. wartości całej transakcji, gdy kupujemy ruble, marki NRD, leje i lewa, 150 proc. — w przypadku koron, forintów i 200 proc. — gdy w grę wchodzi waluty wymienialne. I oto ciekawostka taka: wyjeżdżająca za granicę osoba, która nie posiada własnego konta dewizowego, uprawniona jest do nabycia 10 dolarów po oficjalnym (czytaj turystycznym) kursie. Płaci za nie 14.400 zł. Założmy — całkiem abstrakcyjnie rzecz — że ta sama osoba chciałaby te dewizy odsprzedać z powrotem w tym samym banku. Otrzyma za nie jedynie... 4.800 zł. Czyli będzie „do tyłu” o prawie 10 tysięcy!

Jest jeszcze i kurs czwarty. Również oficjalny. Co pewen czas bowiem w Banku Rozwoju Gospodarczego (zwanego dowcipnie szwarcbankiem) odbywają się dolarowe przetargi. Dotąd mogli w nich uczestniczyć jedynie przedstawiciele instytucji państwowych. Ostatnio dołączyli do nich menedżerowie ze spółdzielczości, a coraz głośniej mówi się również i o tym, że dopuszczone być mają również osoby fizyczne (w ramach gospodarki trójsektorowej). Waluty sprzedawane są tam na zasadzie licytacji: kto da więcej. Cena dolara kształtowała się tu na ogół od 1200 do 1500 złotych.

Mamy też do czynienia z dwoma kursami czarnorynkowymi. Pierwszy — stosowany powszechnie przez cynkiarzy — funkcjonuje w oparciu o równowagę podaży z popytem na waluty. Kształtuje się więc w zależności od sezonu i sytuacji na nielegalnej giełdzie. Drugi — najbardziej chyba rozpowszechniony w społeczeństwie — opiera się o tzw. przelicznik towarowy. Dolar wart jest tu tyle, ile można zyskać ze sprzedaży artykułów kupionych w „Baltonie” czy „Peweksie”. Oba te kursy przenikały się wzajemnie i były od siebie w jakiś sposób uzależnione. Nikt bowiem nie chodziłby z wymianą do konika, jeżeli korzystniejsza była np. sprzedaż importowanej kawy...

Ostatnio, a ściślej biorąc od 15 lipca br., pojawił się tu nowy element. Jest nim kurs bonów banku PKO SA sprzedawanych i skupowanych przez Powszechną Kasę Oszczędności. Ściśle więc mówiąc, jest to już siódmy system rozliczeń walutowych czyniący z dewizowego rynku jeszcze większą lamigłówkę.

Tylko, że bon nie jest żadną walutą, a tym bardziej walutą wymienialną. To znaczy: można wprawdzie wymienić dolary na bony, ale za te bony żaden bank nie wypłaci ani jednego dolara. Pełnią jednak swoistą rolę na rynku krajowym, umożliwiając dostęp do krajowych i zagranicznych dóbr sprzedawanych w ramach tzw. eksportu wewnętrznego. Są zatem czymś w rodzaju zastępczego środka płatniczego o ograniczonym kręgu oddziaływania, czyli — walutowym dziwolągiem.

I być nim muszą, gdyż taki właśnie sposób ich traktowania pozwala uniknąć kolizji z przepisami ustawy o obrocie dewizowym, która pod odpowiedzialnością karną zakazuje obrotu obcymi walutami przez osoby i instytucje do tego nieupoważnione. Dlatego też udało się w Polsce uruchomić skup bonów, a nie można — dolarów.

11 podwyżek w 11 miesięcy

Z tej samej szansy skorzystał rok temu bank PKO SA, który — na zlecenie instytucji handlowych — uruchomił skup bonów. Akcją tę rozpoczęto od płacenia po 980 złotych za jednego dolara (1 listopada 1987 r.), a zakończono przy kursie 1950 zł. O ich sprzedaży nikt jeszcze nie marzy, choć jasne było, że jest to transakcja poławiczna. 15 września br. całą tę operację przerwano na zlecenie Departamentu Obrotu Dewizowego. Zadnych przyczyn tego kroku nie podano, można więc jedynie domniemywać, że powodem była opinia kontrahentów, iż cena zakupu waluty jest zbyt wysoka.

15 lipca br. do akcji włączyła się Powszechna Kasa Oszczędności. Ustalony początkowo kurs skupu na 1520 zł nie utrzymał się długo. W chwili, gdy piszę te słowa, za jeden bon dolarowy płaci się już 2 050 zł, a ile będzie kosztował w chwili, gdy te słowa dotrą do Czytelnika, nie wie nikt. Trzeba jednak zauważyć, że PKO wniosła istotną innowację. Obok skupu prowadzi bowiem — co prawda w ograniczonym zakresie — również i sprzedaż bonów. Wielkość tych transakcji uzależniona jest od skupu w dniu poprzednim. Mamy jednak już do czynienia z jakąś namiastką wymienialności złotych na namiastkę obcej waluty. A to jest już wyraźny postęp w porównaniu z tym, co było uprzednio!

Jedyną, co mać może ową radość, to fakt, że cena skupu owych bonów wspięła się na niebotyczne wyżyny. W ciągu 11 miesięcy prowadzenia tej działalności wzrosła z 980 do 2 050 zł, czyli o 109 procent. Dokonano aż 11 podwyżek, a więc średnio raz na miesiąc. Oto bardziej precyzyjne porównanie: magnetowid Sony z „Peweksu” za 419 dolarów wart był w listopadzie ubiegłego roku około 411 tys. zł. Obecnie — prawie 859 tys. zł. (I to przy założeniu, że jego dolarowa cena nie wzrosła nawet o jednego centa). Można oczywiście przypuszczać, iż mamy do czynienia z rzeczywistą miarą polskiej inflacji. Przeczą temu jednak zarówno oficjalne statystyki (przyjmuje się w nich 50–60-procentowy wskaźnik podwyżek cen), jak i uważniejsza obserwacja zjawisk zachodzących na rynku wewnętrznym. Co może być więc przyczyną galopady kursów?

Podziękowanie cynkiarzy

W szczecińskiej PKO nikt nie umie odpowiedzieć na to pytanie. Placówka

jest bowiem wykonawcą zleceń płynących z centrali. Można jednak sądzić, iż przy ustalaniu kursów bierze się pod uwagę wahania cen zachodzące na czarnym rynku. A zwłaszcza w regionach południowych kraju, gdzie zapotrzebowanie na obce waluty rośnie szybko. Jeśli jednak przyjąć te założenia za prawdziwe, nasuwa się wniosek, iż mamy do czynienia z... wyścigiem z konikami. Bądź z — próbą konkurowania z cynkiarzami. Tylko, że na razie ta próba przynosi skutki odwrotne od zamierzonych.

Pani Barbara Siudek, zastępca dyrektora szczecińskiego oddziału Banku PKO SA, otrzymała niedawno anonimowy list. Nadawca umieścił w kopercie wycinek artykułu opublikowanego w „Wybrzeżu” pt. „Cinkciarze dziękują bankowi” i dopisał na marginesie: „My szczecińscy — również”. Tajemnicą poliszynela jest bowiem fakt, że ów wyścig banku z konikami, wygrywają w cuglach koniki. Bank, w obecnych warunkach, nigdy nie dogoni cinkciarza, który jako odpowiedź na podwyżkę oficjalnych cen skupu oferuje wyższe o 50 lub sto złotych „przebiecie”. I jego jest „na wierzchu”. A każda taka operacja zapełnia złotówkami kieszeń spekulanta.

Dochodzenie do równowagi rynkowej w obrocie dewizami jedynie przy pomocy podwyżek cen jest działaniem pozornym, nie mającym zbyt wiele wspólnego z ekonomią. W istocie jest to zwykły drenaż kieszeni przeciętnego obywatela pod pozorem konkurowania z czarnym rynkiem. W dodatku jest to konkurencja nieskuteczna. Dowodzi tego najlepiej przykład wzięty z życia: otóż ongiś najprzeróżniejszymi sposobami usiłowano zwalczyć koników sprzedających bilety przed kinami. Ta walka nie przyniosła jednak efektów, dopóki nie nastąpił kryzys widowni. Dopóki nie zabrakło chętnych na bilety.

Można zatem sądzić, iż minister finansów, a obecny prezes PKO Marian Krzak, myli się uważając, że grając na jednym tylko, cenowym instrumencie zastąpi całą ekonomiczną orkiestrę. Nie jest to właściwa droga do osiągnięcia wymienialności złotych. Podobnie jak na rynku towarowym, nie osiągnie się tu równowagi tak długo, jak długo podaż nie wyprzedzi, albo choć nie zrównoważy popytu na obce waluty. A pokonanie czarnego rynku wypadnie nam zaliczyć jedynie do grupy pobożnych marzeń działacza gospodarczego.

Sytuacja na bonowym rynku (ciągle zbyt mała podaż i społeczne kolejkę do zakupu) dowodzi, iż założony cel jest nadal niezmiernie daleki. Gorzej! Rodzą one nieprzewidziane i niepożądane skutki gospodarcze. Bo, wbrew pozorom, ta cała operacja nie dotyczy tylko wąskiej grupki (a może nawet sporej grupy?) obywateli dysponujących dolarowymi kontami. W rzeczywistości skutki tych podwyżek dotyczą każdego z nas złośliwie głębokie rysy w psychice społeczeństwa oraz nakreślając i tak już napiętą spiralę inflacji. Rodzi się pytanie: gdzie jest granica tych podwyżek? Gdzie granicą obniżania wartości złotych? I ile będzie kosztował bon dolarowy pod koniec roku? 2500 zł? A może już 3000 zł? Odnosi się wrażenie, że PKO w walce z konikami utraciła jakąkolwiek kontrolę nad tym wyścigiem i nie dostrzega mety.

Bariera zamożności

Manewrowanie kursem bonów sprawiło, że powoli traci rację był dotychczasowy, wielce urynkowany, towarowy przelicznik dolara. „Pewex” od pewnego czasu odnotowuje zmniejszone zainteresowanie oferowanymi towarami. Usiłuje temu przeciwdziałać obniżkami cen i choć na razie udaje się mu wykonywać plany obrotów, ta forma zachęty przestaje powoli skutkować. Podobnego zjawiska na razie nie zaobserwowano w „Baltonie”, ale chyba tylko dlatego, że sprzedaż na rynek krajowy (czyli tzw. eksport wewnętrzny) stanowi tu nieodczuwalną prawie, margines działalności przedsiębiorstwa. PSS „Społem”, jeden z najpoważniejszych odbiorców towarów „pochodzenia zagranicznego”, wciąż jeszcze notuje zwykłe tendencje, ale wszyscy są zdania, że złotówkowa statystyka fałszuje obraz rzeczywistości. Nie wiadomo, czy ta dynamika związana jest ze wzrostem cen, czy ze wzrostem dostaw. Większość obserwatorów przypuszcza jednak, iż decydujący wpływ na statystykę ma ta pierwsza przyczyna.

A co mówi ulica? „Panie — rzecze przechodziele — kto dziś pójdzie do „Peweksu” po wódkę za dolara z ka-

walkiem, jeśli te same pół litra kupi w monopolu za 1700?”

Oficjalny skup bonów skomplikował naszą sytuację — mówią mi w „Peweksie”. — Jest to bardzo odczuwalna konkurencja. Przy tych cenach żaden towar, no, może z wyjątkiem koniaków typu brandy po 2 i 2,2 dolara, nie daje klientom odpowiedniego „przebiecia”. Zmniejszenie obrotów powoduje dotkliwy brak środków na odtworzenie zagranicznej oferty towarowej. Nie przyniosłoby to może zbyt wielkiej szkody gospodarce, gdyby nie fakt, że średnio 45 proc. dewizowych wpływów przekazujemy do skarbu państwa. Rocznie czyni to kwotę blisko pół miliarda dolarów. Wykorzystywana jest ona na interwencyjny import dla rynku wewnętrznego. Czy uda się go zrównoważyć bez tej pomocy?

— Pogorszenie „przelicznika towarowego” — mówi dyrektor handlowy PSS „Społem” w Szczecinie p. Barbara Ożóg — wywarło wpływ na zaopatrzenie sklepów w artykuły luksusowe. Kto kupi w „Peweksie” kawę za 8 dolarów, jeśli my oferujemy mu za nią np. 10 000 zł? Tym bardziej, że za sprzedane bony otrzyma 12 300 zł. Możemy, oczywiście, podwyższyć ceny skupu uginając się pod dyktando dostawcy. Muszę jednak pamiętać przy tym, że mam do czynienia z konkurencją. Odmówiłam np. zakupu perfum Mitsouka po 8 tys. zł za flakonik. Cena wydała mi się zbyt wysoka. Tylko, że ten kosmetyk kupiły WPHW i PDT. I teraz ja mam pustą półkę w sklepie, a oni — towar...

Na tym nie koniec — ciągnie p. Ożóg — są przecież granice radosnego entuzjazmu. Sądzę, że istnieje, a przynajmniej powinna istnieć, bariera zamożności społeczeństwa. Jej przekroczenie powoduje, iż klient odrzuca zbyt drogi towar. Rezygnuje z jego nabycia. Na razie staram się jak mogę, by tej granicy nie przekroczyć. Aby przeciwdziałać wzrostowi kursu bonów obniżaliśmy np. marżę przy ustalaniu cen na towary pochodzenia zagranicznego. Zamiast przysługujących nam 20 proc. — naliczamy tylko 15. Pytanie: jak długo wytrzyma przedsiębiorstwo? I — oczywiście kieszeń klienta?

No i jak? Cieszyć się teraz czy martwić z ograniczenia towarowego przelicznika obcej waluty?

Efekt benzynowy

Na tym nie koniec. Bo wzrostowi kursu bonów towarzyszyć będzie zapewne efekt uboczny, zwany potocznie efektem benzynowym. W chwili wprowadzenia do sprzedaży paliwa komercyjnego, po 300 zł za litr, wzrosły natychmiast ceny wyrobów rzemieślniczych i polonijnych, a także usług. Podwyżkę kosztów transportu w kalkulowano w cenie zbytu. W ten sposób całym ciężarem tej operacji obarczono kupujących. A ponieważ wielu drobnych wytwórców zaopatruje się w surowce albo w „Baltonie” i „Peweksie”, albo bezpośrednio u dostawców zagranicznych — bankową podwyżkę rekompensują sobie natychmiast u nabywcy. Analogia z napinaniem sprężyny inflacji nasuwa się sama.

W tym rachunku uwzględnić jeszcze trzeba uwarunkowania społeczne. Wysoka cena skupu bonów pogłębia podziały wewnętrzne, dzieląc ludzi na tych, którzy mają dostęp do bonów i brakuje im tylko ptasiego mleka, oraz na tych, co są tego dostępu pozbawieni. Można więc mówić o pogłębianym się rozwarstwieniu przy równoczesnym, niestychanie szybkim korodowaniu złotych. Wynikiem tego jest stale pogłębiający się brak zaufania do środka płatniczego, którym oplaca się pracę. Konsekwencją jest zaś zwiększony nacisk na rynek towarowy, jako że kupiona dziś lodówka czy telewizor kosztuje taniej niż wypadnie za nią zapłacić za kilka miesięcy. I kolo się zamyka.

Można się też dziwić Powszechniej Kasie Oszczędności, która tak szybko podwyższa kursy bonów, nie licząc się z ekonomicznymi represjami takiego postępowania. Można się dziwić tym bardziej, że w samobójczy sposób podcina gałąź, na której siedzi. Brak zaufania do złotych, to brak zaufania do oszczędności gromadzonych w PKO. I brak tym większy, że stopa procentowa (nawet najbardziej podwyższona) nie rekompensuje stopy inflacji.

Nie jest zadaniem dziennikarza leczenie chorób dewizowego rynku. Gdybym zresztą miał taką receptę — nie trudniłbym się piórem i nie ograniczał do sygnalizowania istniejących nieprawidłowości. Wydaje mi się jednak, że nie wolno podejmować działań ekonomicznych dla osiągnięcia celów doraźnych, traktując wyrywkowo całą gospodarkę. Działa ona bowiem na zasadzie naczyń połączonych, więc do reagowania na zmiany, jakie w niej zachodzą, używanie końskich okularów nie jest pomocą, lecz przeszkodą. I podejmowanie inicjatyw na jednym tylko froncie może przynieść nieodwracalne szkody na frontach pozostałych.

Kajet literacki

Rady dla młodych

Od lat chętnie rozmawiam z młodymi pisarzami. Młodzi przez ten czas wyrastają i albo piszą sobie dalej, albo żyją z rozmachem. Gadamy o literaturze, a także o życiu i śmierci, o wielkiej i małej polityce, o starych i nowych znajomych, o swoich i cudzych dzieciach, o wszystkim po trochu, bo literatura jest częścią wszystkiego, a wszystko jest częścią sztuki. Nie brakuje zapalu. Gdyby było inaczej, nie gadalibyśmy aż tyle.

Kiedyś często odwiedzał mnie poeta, prozaik, dramaturg i eseista, Józef K. Potem dochodziły do mnie tylko dziwne plotki, składające się jakby zwrótkami na dziwny poemat jego życia. Podobno zakochał się w maturzystce, która w związku z tym oblała egzamin dojrzałości i musiała repetować. Zrozpaczony poeta zapuścił brodę, odchudził się, a następnie upił się i trafił do izby wytrzeźwień. Po wyjściu ze „łobka” ślubował na placu Litewskim, że zostanie abstynentem. W czasie ślubowania wyglądał tak podejrzanie, że o mało drugi raz nie trafił do izby wytrzeźwień. Jako abstynent grający w

pokera spotkał szalową szatynkę i farbowaną blondynkę. Wyjechał za granicę, wrócił i kupił sobie malucha, a potem poloneza. Krótko mówiąc twórczość zastąpił zyciorysem.

Tymczasem podrośli nowi młodzi zabierający się do pisania. Dalej bardzo lubię z nimi dyskutować. Im mniej dotychczas napisali, tym większe są nadzieje, że mają szansę coś wreszcie napisać. Oni zaś traktują mnie jeszcze bardziej protekcyjnie. Kiedyś przypadkowo usłyszałem, jak jeden mówi do drugiego:

— Jasio farmazoni jak wszyscy, ale ostatecznie ujdzie...

— Ujdzie, bo nie grzebie wcią do siebie, do siebie...

Dłuższą chwilę zastanawiałem się, czy mam się obrazić, ale ostatecznie uznałem to za komplement. I dalej dyskutowaliśmy z zapalem.

Młodzi życzą sobie przede wszystkim, żeby mówić o ich utworach. To zrozumiałe. Utwory te pozbawione są na ogół wyrazu do tego stopnia, że nie wiadomo, co postawić — plus czy minus. Do druku zazwyczaj się to nadaje, bo dziś do druku nadaje się wszystko. A więc całymi godzinami rozmawiamy z młodymi o ich twórczości. Oczywiście wtedy bliższą w natchnieniu.

Zresztą pedagogika światowa nie opracowała metodyki w tym dziale szkolenia zawodowego. Cóż bowiem można doradzać młodemu? Poszukiwania formalne? Wszystkie te poszukiwania wyglądają potem jak rysunki dziecięce — bezradnie oraz identycznie. Poza tym młodzi niechętnie słuchają takich rad, bojąc się, że za chwilę majster pogoni ich po piwo, a majstrowa każe dzieci niańczyć.

Wspaniałych rad piszącym udzielał Hemingway, cudowny Papa Hemingway. Gdy masz jakiś pomysł — tłumaczył — to opowiadaj, streszczaj go każdemu po kolei. Nie wstydz się zanudzać ludzi. Najlepsze są takie szkice mówione. Albo druga rada: nie naśladowaj żyjących pisarzy. Trzeba znaleźć, że nie mają oni nic do powiedzenia. Rywalizować można tylko z niezżyłymi, o których wiemy, że powiedzieli cokolwiek.

Jest to naprawdę głęboka myśl, która zupełnie nie dociera ani do młodych ani do starych, zrywających najczęściej jeden od drugiego, przez ramię jak na klasówce.

Takie są zalecenia metodyczne dla młodych pisarzy. Ale młodzi akurat nie chcą żadnych rad słuchać, co jednemu na tysiąc dobrze robi. I ci właśnie zostają pisarzami.

Janusz Olczak

Pocztą literacka

Małgorzata R. Lublin. Uprawia Pani dość ciekawy rodzaj poezji, jest to mianowicie rzadki dzisiaj gatunek panegiryków sławiących władzę. I już sam ten fakt, iż ma Pani odwagę iść pod prąd, musi budzić zaciekawienie. W czasach, gdy tak łatwo krytykuje się rząd i partię, Pani wiersze przywracają rzeczywistości naturalny porządek rzeczy, ów archetypiczny, kosmogoniczny ład sił natury. Władza jako osobliwość owego „wyznaczonego” porządku jawi się w tych wierszach (zwłaszcza dotyczy to utworu „Nie lekajcie się, towarzysze!”) jako siła sprawcza wszelkiego dobra, jakie może spłynąć na człowieka. Ale zarazem także jako karząca ręka naturalnej, biologicznej niemal sprawiedliwości. Jako konstrukcja literacka, jako quasi-rzeczywistość poetycka jest ta wizja naprawdę urzekająca, ma ona dużą siłę (a jakie często takiej właśnie siły brakuje

dzisiejszej literaturze) perswazyjną, co sprawia, że czytelnik przechodzi jakby do porządku nad niedoskonałościami warsztatowymi. A spośród nich — jedna jest najbardziej niepokojąca. Otóż o ile u wielu poetów można zaobserwować przerost formy nad treścią, to w twórczości Pani zaistniał przypadek odwrotny i niestety nie rzadki (prawdę mówiąc, to stykam się z czymś takim po raz pierwszy): przerost treści nad formą. Otóż jeżeli wolno mi zrekonstruować Pani myślenie, to wydaje mi się, jakoby powzięła Pani przekonanie, że panegiryk na cześć władzy uwalnia od wszelkiej dbałości o kształt artystyczny, o dyscyplinę języka, o — słowem — kunszt artystyczny. Jest Pani chyba autorką bardzo młoda i nie pamięta, że serwilistyczne wiersze epoki socrealizmu odznaczały się niejednokrotnie „nieodstępnie” artyzmem.

Ale teraz poważnie. Jeżeli chce Pani, aby wiersze zasługiwały na miano poezji, to musi Pani pisać z większą dbałością o kształt artystyczny i smak. Np. w wierszu „Oda do Premiera” używa Pani w pewnym momencie sformułowania „wielkie psy opozycji weszły za srebrnikami”, a w utworze „To nie są czcze groźby” pisze Pani: „mają zakrzywione nosy / przychodzą z ziemi, która nie jest dla nas święta / wyciągają brudne szpony po fałszywy blak / miedzików”. Cóż, tego typu sformułowania ratą właśnie mój

dobry smak, ale i takt, który kazałby nawet o przeciwnikach politycznych wyrażać się bardziej ogólnie. Po prostu niech Pani chroni się przed zalewem nienawści. Wprawdzie wielkie, silne uczucia są mocnym orężem poety, ale Pani pisanie dowodzi, że Pani nad tymi namiętnościami nie panuje. A zatem wiersze odsyłam, w tej formie stanowczo nie do druku. Proszę odczekać się za pół roku.

Janina Wanda B. Warszawa. Spośród trzdziestu wierszy zatrzymuję trzy do druku. Są to wszystko krótkie erotyki bez tytułu. Właśnie w tych niewielkich, rzekłbym konfekcyjnych utworach najlepiej spełnia się Pani jako mistrzyni słowa i wzruszenia. Widocznie miłość jest na razie uczuciem, które porusza Panią najbardziej. Natomiast cykl „Sceny uliczne w mieście W.” rażą przegadaniem i łatwą dydaktyką. Jeden tylko wiersz z tego cyklu, mianowicie „Mokra plaża po obywatelu NN”, jest zapowiedzią jakby szerszego, filozoficznego spojrzenia na tragizm ludzkiej egzystencji. I nad tym wierszem radzę jeszcze popracować. Na druk będzie Pani musiała jednak długo czekać, ponieważ koleżka spora, a miejsca na poezję niewiele.

AP.

Konkurs na pamiętnik - zwierzenie Wschodnie losy Polaków

„Kontakty” — wspólnie ze Społecznym Stowarzyszeniem Prasoznawczym „Stopka” — ogłaszają konkurs na pamiętnik-zwierzenie pt. „Wschodnie losy Polaków”.

Ogłaszamy go w czasach współpracy historyków radzieckich i polskich nad uszowaniem tzw. białych plam w historii stosunków obu narodów. Wspólne ustalenia komisji będą miały wymiar uogólniający, natomiast nam zależy na przedstawieniu jednostkowych losów ludzi, w których zyciorysach epizod wschodni będzie oryginalnym i autentycznym dokumentem czasu.

Chcielibyśmy otrzymać także zapisy własnych lub rodzinnych losów, zawartych w przedziale od końca I wojny światowej do połowy lat pięćdziesiątych, w których dominowałyby fakty, a nie oceny czy emocje. Ponadto spodziewamy się też zwierzeń ludzi, którzy lata 1939—41 przeżyli na ziemiach włączonych do ZSRR. Prace o dowolnej objętości należy nadsyłać do końca

1988 r. pod adresem: „Kontakty”, ul. Swierczewskiego 7a, 18-400 Łomża. Za najciekawsze z nich, wzbogacone dokumentami, listami, fotografiami, przewidziane są następujące nagrody:

- I — 100 000 złotych,
- II — 70 000 złotych,
- III — 50 000 złotych,

trzy wyróżnienia po 30 000 każde oraz książki do rozlosowania pomiędzy wszystkich uczestników. Ogólna suma nagród może zostać podzielona inaczej.

Plon konkursu w postaci zaproponowanej przez jury (jego skład podamy w późniejszym terminie) ukaże się w książce nakładem oficyny wydawniczej „Stopki”. „Kontakty” zastrzegają sobie prawo pierwotnego zgłoszenia prac.

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derski, Wiesław Horabik, Ireneusz J. Kamiński, Andrzej W. Pawluczuk (sprawy literackie); interesantów przyjmuje we wtorki w godz. 13—14. Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo skrótu.

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie ul. Umiecia 4.

Wydawca: Robotnicze Spółdzielstwo Wydawnicze NSW „Prasa — Książka — Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jajna 5, tel. 265-20.

Adres redakcji: 20-020 Lublin, ul. Skłodowskiej 3/1.

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 226-93, sekretarz redakcji 228-95, dział publicystyki i literacki 278-98. Korrespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-020 Lublin, skrytka pocztowa 241; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Koleżeński zjazd

Dokończenie ze str. 7

tamto. Już brakło nam szczeroci, wy-lazła dyplomacja.

Przy barze ożyła właśnie „buda”, dobra, stara „buda”, poczciwa, pokła-szorna, rozskrzybiła „buda”. I stało się wtedy dobrze, tak naprawdę ciepłutko i choć później wylazła prawda, że wspomnienia nie mają już waloru życia, co tam chyba się nam udało pochwytać z atmosfery przeminiętej. Choć tylko werbalnie, zaroiły się znów korytarze, rozrzał się drzwonek, ciapy zaczęły grzęznąć w błocie, w drodze do „pracowni”, od fundamentów zaczął się znów budować internet, zakolysała się studniówką gimnastyczna sala. Ktoś tam przechował pochodnie na uroczystym capstrzyku, inny nasz triumfalny marsz do finału w turnieju piłkarskim, jeszcze inna sobotnią potańcówkę w zapachu tanich perfum. Ten wspomnial ściąga w kiblu, tamten ścieżki wybawienia od obowiązkowej „filharmonii”, ktoś inny wycieczkę warszawiaków z zaprzyjaźnionej szkoły, inny znów niefortunną wpadkę na „przekletej matmie”. Ożyły i postacie belfrów różnorakich i placz gorzki młodej „Pyzy” sterroryzowanej solidarnie przy jakiejś okazji i postać „starej” — dyrektorki, chłodnej i zasuszonej, jak wiktoriańska dama. Tak. Wtedy się zrobiło ciepłutko i rzewnie i tęsknie. I już spełniło się to, po czym tu przy-jechali. I już można by się rozzejść i pielęgnować wspomnienia, ale nagle się wszystko rozlamalo, poszło na małe grupki, rozdergalo podnieśliwym gde-raniem: „A pamiętasz tego «listonosza»?” „Wtedy zrobiłeś furorę. Nawet sam Antek bil ci brawo”. „Nie odpisa-łeś, kurde, na mój długi list”. „Nio-słem do domu zapach twoich włosów”. „Nie zalewaj”.

I polargalo się to jedno wspólne, to, dla którego nas przywialo, polamalo się na części i rozbiło na okrucy. Jeszcze był czas dowcipów, jeszcze czuliśmy przeszłość, ale już zaczęła wylazić teraźniejszość ze swoją mała-cią. „Co miałem robić, musiałem sprze-dać chałupę”, „Wczoraj mój chłopak mi mówi: »Tato, ty lepiej tam nie jedź«”, „Dobra jest kobita, tylko, że wciąż lata z tą ściereczką w dłoni”.

Kiedy ruszyliśmy w tany, już nam stary, dobry rock-and-roll nie najlepiej wyszedł. Za to w „tango-przytulango” zaczęły odzywać jakieś dawne drgnie-nia, przewalily się zakłęcia, rozpalily wyznania. Ale było to już powykrzy-wiane, rozsypane i nijakie. Jakby ktoś chciał spacerować po ulotnych cieniach. Trzech wystawilo rozpalone twarze na jesienny wiatr, tylko przed Michałem stał, jak dawniej, kieliszek oranżady.

„Wciąż to samo, stary?” „Ciagle to samo”. „Zawsze miałeś charakter, niech cię diabli”.

Im bardziej gęstniał mrok za oknem i tężały głosy, tym mniej w nas było jedności i tym mniej tęsknoty. Jakies pokolenie miało swój półmetek.

Cóż tu więcej dodać?

Miód i wino pili: nauczyciele, w tym trzech akademickich, dwóch taksówka-rzy, dyrektor od rolnictwa, muzyk jaz-zowy, jeden major i jeden kapitan, chociaż z różnych służb, kwaciarka i lodziarz, dwoje lekarzy i ja. Dzieci na-liczyliśmy sporo, rozwoły dwa, sta-nów cywilnych zerowych — brak, sa-mochodów dwanaście, chałup wołno stojących cztery. Była Warszawa, Byd-goszcz, Lublin i Kraków, Radzyń Pod-laski i Ł. i dwie Wólki na S.

Nobla, jak dotąd, nikt się nie dore-bił.

Następnego dnia, wczesnym popołud-niem, złożyliśmy kwiaty pod starą „budą”.

W. H.

Ruch w teatrze

NIE od dzisiaj już, podsumowując liczbę scenicznych dokonań w naszym mieście, entuzjastycznie mawia się o Lubelskim Zagłębiu Teatralnym. Jakby dla potwierdzenia zasadności tej opinii Lublinowi przybył jeszcze jeden zespół, utworzony przez byłych członków Teatru Wizji i Ruchu. Właściwy debiut Sceny Ruchu odbył się w czerwcu bieżącego roku występem w ramach imprez towarzyszących Lubelskiej Wiosnie Teatralnej. Natomiast pełniej swoje istnienie grupa zaznaczyła podczas Przeglądu Repertuaru Teatrów Lubelskich, odbywającego się w dniach 9-16 października 1988 roku.

Powtórzyli wtedy „Kalejdoskop” — inaugurującą działalność komedię pantomimiczną, rzecz zaskakującą odmienną od tego, do czego przyzwyczaili nas Jerzy Leszczyński. Jego niegdysiejsi wychowankowie zaprezentowali widowisko lekkie, łatwe i przyjemne. Już sugestią zawarta w tytule pozwalała na „Kalejdoskop” spojrzeć jak na składankę etiud pantomimiczno-akrobatycznych, stanowiących przegląd form i środków posiadanych do dyspozycji. I chociaż ten warsztatowy charakter pierwszej prezentacji zespołu był oczywisty (miejscami trochę niedopracowany technicznie), to jednak wart zaważenia. Radość oglądającego pochodziła tu tyle samo ze śmieszności akcji, co z uciechy dla wzroku, jakiej dostarczały idealnie czyste i żywe barwy kostiumów oraz dekoracji.

Drugą pozycją w dorobku grupy kierowanej przez Mirosława Olszówkę jest „Bolero” — impresja ruchowa inspirowana muzyką Maurice Ravela. Jest to przedsięwzięcie artystyczne oparte bardziej na pomysłach scenograficznych niż na związku z tańcem. Udział wrażeń wizualnych, uzyskanych niekonwencjonalną aranżacją przestrzeni teatralnej, jest nieporównanie większy od wywołanych estetyką ruchu, czy nawet niekwestionowaną urodą muzyki. Pamięć owego zaskakującego widoku, jaki rozbił się w pustej, niematerialnej ciemności — chłodnego, świetlistego i magicznego obrazu wynosi się jako najistotniejszą wartość piętnastominutowego pokazu.

Próbą większej całości, głębszej w przesłaniu, jest trzecie z kolei widowisko ruchowo-pantomimiczne oparte na motywach malarstwa Edwarda Muncha zatytułowane „Popioły”. (Pomysł tytułu wydaje się niezbyt szczęśliwy, gdyż obciążony jest innym stałym skojarzeniem). O „Popiołach” można powiedzieć, że jest to przedstawienie jednej przepięknej sceny. Chyba w powszechnym odczuciu na miano to zasłużył „duet podwodny”, podczas którego pulsujące światło tak wspaniale



Fotografia z wystawy „Wiatr z Męcierzna”, która towarzyszyła przeglądowi repertuaru lubelskich teatrów. Jedną z form pracy i poszukiwań Teatru Scena Ruchu.

Fot. Antoni Zdebiak

zbudowało głębię sceniczną, jednocześnie odrealniając ją i tancerzy. W dodatku towarzyszyła temu psychodeliczna muzyka. Sąsiadujące z tą sceną solistyczne popisy utrzymane w charakterze tańca dyskotekowego na płaskim, bardzo konkretnym, ostro zarysowanym tle traciły swą wizyjność i, miast dawać pożądany artystycznie efekt kontrastu, budziły tylko tęsknotę za tamtym „widzadłem”. Czasem obraz odzyskiwał jeszcze na moment poezję i piękno, ginąc w mroku wygaszanych reflektorów. Oprócz tego w uwagach o kompozycji spektaklu można podnieść zarzut zbyt mechanicznego następstwa scen i przeplatania się dwu planów w raz ustalonej kolejności. Ułatwiło to, co prawda, narrację, ale od pewnego momentu trochę nużyło.

Sumując: jak na tylko trochę ponad półroczne istnienie trzy premiery to niemało. Tym bardziej,

że są one w całości dziełem członków zespołu (od reżyserii i choreografii aż po scenografię i kostiumy). W każdym z przedstawień daje się wyróżnić choćby jeden wykraczający ponad przeciętność pomysł zrealizowany w znakomity sposób, co daje podstawy do przypuszczeń, iż zespół dopracuje się wkrótce efektów o wyrównanym, wysokim poziomie. A odmienna poetyka każdej z prezentacji rodzi nadzieję, że jest to skutkiem poszukiwań twórczych, wpisanych w program artystyczny Sceny Ruchu: „Poszukujemy takich form wypowiedzi scenicznych, w których przez wykorzystanie różnych technik ruchu, plastyki, koloru, światła oraz muzyki nadamy teatrowi inny charakter, wzbogacimy go w nowe idee i wartości”.

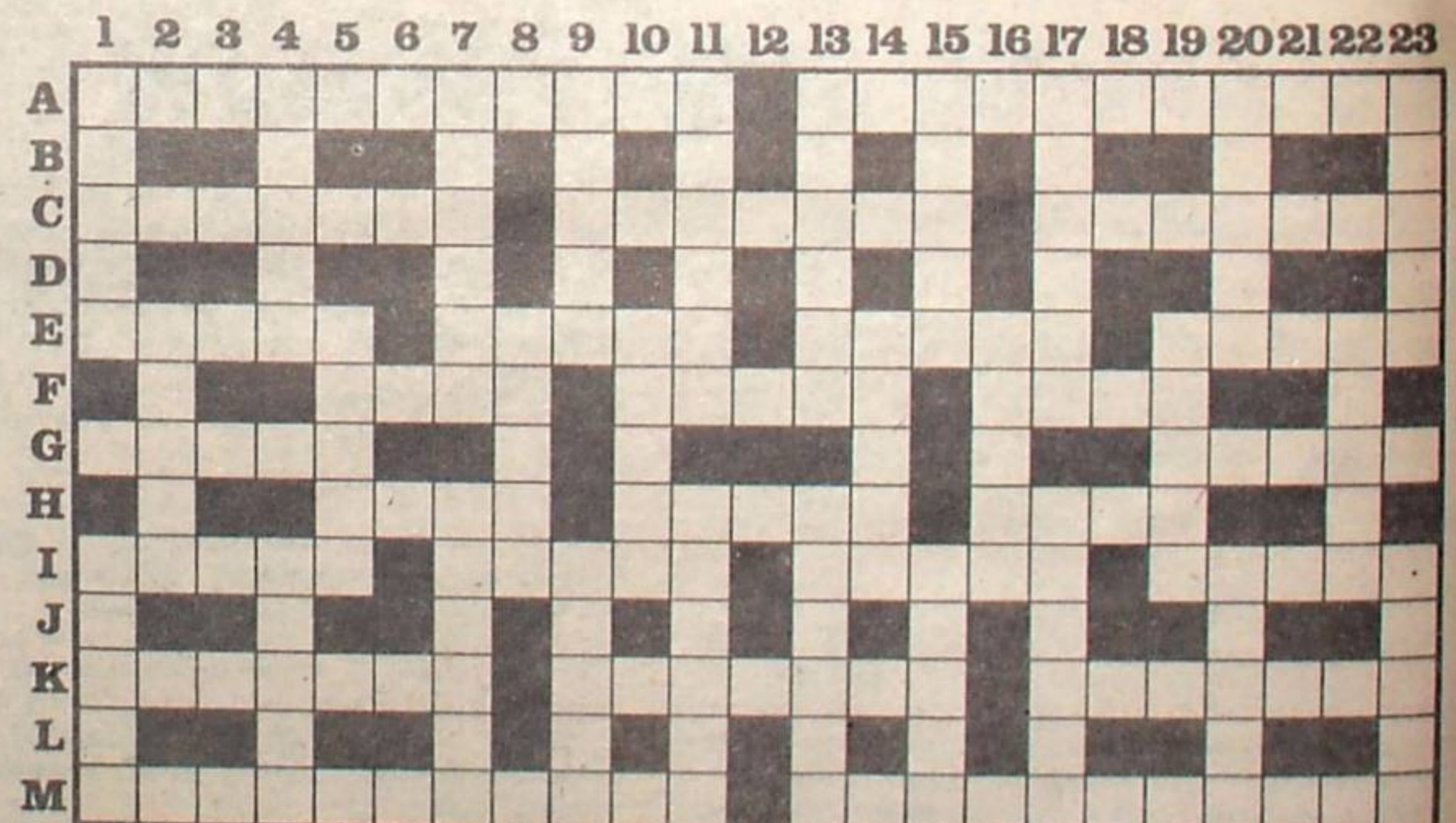
Magdalena Jankowska

Krzyżówka nr 23 z szyfrem

Poziomo: A. ciepłota ● ustalenie miejsca inwestycji, C. może być członkiem ONZ ● dostarcza drogi puch ● zdobią brzeg chusty, E. wstęp wzbroniony ● przez nią do Gdańska lub Olsztyna ● początek dużego ognia ● najdalej na płd.-wsch. wysunięty przylądek Sachalinu, F. niechęć ● nowela Prusa ● trudno zmywalny na dnie naczyń, G. idzie nań rezyk ● zbieranie plonu, H. bardzo korzeniasty chwast ● w jesieni jest ich sezon ● wulkan na Sycylii, I. dziecięce uzdrowisko ● bogini mądrości ● okres w historii ● pasma lasów jodłowo-bukowych i świerkowych w Tatrach, K. roślina niepotrzebna, chwast ● państwo europejskie ● dziś nazywa się naturystą, M. dawniej zastępowała w wojsku kabinę ● przechodzenie z pąka w kwiat.

Pionowo: 1. kamień ozdobny ● tygodniowy magazyn młodzieżowy, ● Górna jest Dolnym Tyrolerem, 4. karma ● ptak z rzędu mew-siewek, 5. śniegowa przeszkoda drogowa, 7. miłek ● meldunek, 8. dawna jednostka pojemności ciał sypkich, 9. gwałtowny deszcz ● kinowa scena, 10. naczynie na kwiaty, 11. imię kilku papieży ● razem z Mazurami, 13. przeważają nad innymi gatunkami na ziemi ● inaczej kwintal, 14. punkt sprzedaży detalicznej, 15. przed kinem handluje biletami ● idzie za plugiem, 16. waltornia, 17. jedna z Wysp Jońskich ● miasto wojewódzkie, 19. mieszka w Batumi, 20. ośrodek eksploatacji złota w Jakucji ● określa normy moralne, 22. wzgórze zamkowe w Krakowie, 23. szeroka ulica ● wulkaniczna wyspa należąca do archipelagu Nowe Hebrydy.

SZYFR
F14. M7. C7 / E14. D15. C19 / I3. A14. K14 / A4. H17. E19. M4. L17. G22 / K13. A18. C9 / F17. G21. H13. D23. M6 / I14. C18. C14. F7. L9.



Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 29-950 Lublin). Wśród autorów prawidlowych rozwiązań rozlosujemy bonus książkowy wartości 1000 zł.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 21 z SZYFREM
Poziomo: korsarz, styczeń, ochrona, paszport, eksponat, stok, utarg, lato, kabina, Izrael, kort, żona, figi, bład, glob, niwa, groza, test, asceta, krawat, piec, Rosja, skok, czerwiec, psiarnia, wolność, Karpaty, odłamek.

Pionowo: Kossak; napływ, pokrowiec, smak, czyn, raz, atlas, rys, posiedzenie, tatuaż, Garcia, cela, ido, skup, elegia, akapit, kserografia, clo, epokarad, Real, siła, tapicerka, Antoni, taktyk.

Szyfr

Człowiek o wielkim sercu nie robi obliczeń, gdy trzeba spieszyć z pomocą.

Aleksander Minkowski — „Dolina światła”

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 21 nagrodę wylosował Tadeusz Sidoruk, ul. Lipowa 38, 22-200 Włodawa.